



***ANNE MCALLISTER***



***Z miłości do  
dziecka***

---

Tytuł oryginału: Fletcher's Baby



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

---

Sam Fletcher dobrze znał skutki wynikające ze zmiany czasu. Znał ból piekących powiek i zaczerwienionych oczu, ogólne rozbicie i osłabienie oraz skłonność do ziewania w najmniej odpowiednich momentach. Ale nigdy przedtem nie rzuciło mu się na słuch.

- Co takiego zrobiła Hattie? - Wpatrywał się ze zdziwieniem w matkę, która dopadła go, ledwie zdążył przekroczyć próg mieszkania.

Amelia Fletcher mieszkała w tym samym co jej syn budynku na Upper East Side, ale nigdy się nie narzucała. Narzucanie się świadczyło o złych manierach, ona zaś miała maniery nienaganne.

A jednak była tu o pierwszej po południu, czyli trzeciej nad ranem czasu tokijskiego, w którym nadal żył Sam. Stała oto z listem w ręce w holu jego biurowego apartamentu mieszczącego się w budynku na Piątej Alei.

- Adwokat nie mógł się doczekać twego powrotu, by przeczytać ci testament - mówiła. - A ponieważ mam twoje pełnomocnictwo, zrobiliśmy to bez ciebie...

- Oczywiście, oczywiście, ale... - Naprawdę musiał mieć problemy ze słuchem. Wiedział, że jego oddana, ekscentryczna ciotka Harriet zmarła w ubiegłym tygodniu i ogromnie żałował, że nie może uczestniczyć w jej pogrzebie, ale nie rozumiał ani w ząb tego, co mówiła matka.

- Zostawiła ci wszystko - powtórzyła z naciskiem Amelia Fletcher.

Tak, dokładnie to samo usłyszał za pierwszym razem. Gwałtownie potrząsnął głową.

- Wszystko, czyli co? - Nagle głos mu zamarł. Zaczął się zastanawiać, co naprawdę owo „wszystko” mogło dla kochanej Hattie oznaczać.

Na wypadek gdyby w myślach coś pomiął, matka nie omieszkała, zerkając raz po raz na listę, wymienić wszystkich cennych szczegółów.

- Dom, to znaczy pensjonat, meble i bibeloty, włączając w to wazy z epoki Ming, szkło od Tiffany'ego, komplet dębowych mebli Stickleya, szkice Granta Wooda i rysunki elewacji Franka Lloyd Wrighta. - Amelia Fletcher mówiła wolno i wyraźnie. - Zostawiła ci także trzy koty: Clarke'a Gable'a, Errola Flynna i Wallace'a Beery'ego. - Posłała Samowi sponad okularów rozbawione spojrzenie. - Pies zaś ma na imię...

- Humphrey Bogart - dokończył Sam znużonym głosem. Oparł się o ścianę i potrząsnął głową. To nie było specjalnie zabawne.

Amelia nadal się uśmiechała. Znow zerknęła na listę.

- I papugę, która....

- .. ma na imię Fred Astaire - dokończył.

- Oraz - ciągnęła z rozbawieniem - nie zidentyfikowany obiekt, który nazywa się... Josephine Nolan.

- Co takiego? - Sam aż podskoczył.

- To ostatnia pozycja na liście - powiedziała jego matka. - Josephine Nolan. - Wydeła lekko policzki, jednocześnie wykrzywiając usta. - Nigdy nie słyszałam o Josephine Nolan. Jak sądzisz, co to jest? Królik? Chomik? A może żółw?

Sam upewnił się teraz, że to wcale nie jest zabawne. Doskonale wiedział, kim jest Josephine Nolan. Cóż, u diabła, wymyśliła Hattie, pozostawiając mu w spadku kobietę!

Szekspir miał świętą rację. Najpierw należało zabić wszystkich prawników. Zaczynając od Hermana Zuppera, oddanego powiernika ciotki Hattie.

- Wyjechał na wakacje? - zdziwił się Sam podniesionym głosem, gdy sekretarka Zuppera oznajmiła, że szef jest nieosiągalny.

- Na miesiąc - dodała spokojnie. - Świętuje wraz z żoną piętnastą rocznicę ślubu w Niemczech.

- To absurd... - wymamrotał Sam. - Po co u diabła Hattie to zrobiła?

Miał dość kłopotów na głowie. Był dyrektorem Fletcher's Imports, jednej z najlepiej prosperujących firm tego typu na świecie. Gumps czy Neiman-Marcus zrobiłyby wszystko, byle tylko sprzedawać towary, które importował. Ale mimo osiągniętych sukcesów Sam Fletcher nie spoczął na laurach. Podróżował po całym świecie, szukając nowych skarbów i negocjując kontrakty warte miliony dolarów. Zupełnie nie miał czasu, by wszystko porzucić i zająć się prowadzeniem małego pensjonatu w Dubuque w stanie Iowa!

- Zapewniam pana, że dom jest w bardzo dobrym stanie - powiedziała sekretarka, która widać źle go zrozumiała.

Sam znów jęknął. Wiedział, że pensjonat Hattie był dochodowym interesem. Stary, wiktoriański dom, posadowiony na urwisku z widokiem na miasto Dubuque i rzekę Missisipi był naprawdę uroczym miejscem, a dla Sama schronieniem, gdy życie zanadto dawało mu się we znaki. Hattie, bezdzietna wdowa, zawsze przyjmowała go z otwartymi ramionami.

Cały świat przyjmowała z otwartymi ramionami, pomyślał z rozrzewnieniem. W pensjonacie o wdzięcznej nazwie „Opoka”

zgromadziła największą kolekcję „kulawych kaczątek”, jaką kiedykolwiek w życiu widział.

Ciotka Hattie przejawiała godną ubolewania skłonność do zbierania tego wszystkiego, czego inni ludzie się pozbywali. Powinien uznać się za szczęściarza, że umierając, miała tylko trzy koty, jednego psa i papugę.

I Josie Nolan.

Przypuszczał, że Hattie, nie mając własnych dzieci, zostawi cały majątek Josie, którą kochała jak córkę. Do licha, co to miało oznaczać, że zostawiła mu Josie?!

- O co chodzi... - chrząknął - o co chodzi z tą Josephine Nolan? - spytał sekretarkę.

- Josephine Nolan? - Sekretarka sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

- W testamencie - wyjaśnił, czując się bezgranicznie głupio - ciotka Hattie pozostawiła mi psa, koty, ptaka i... i Josephine Nolan.

- Przykro mi, ale nie znam dokładnie wszystkich punktów testamentu pańskiej ciotki. Wiem tylko, że na razie zarządzamy jej posiadłością. Ale jeśli pan sobie życzy...

- Nieważne. Dowiem się sam. - Odłożył słuchawkę, odchylił się na kanapie i przez chwilę gapił się w sufit.

Na szczęście matka, dostarczywszy mu tę hiobową wieść, zniknęła. Amelia nie lubiła skomplikowanych sytuacji. Na widok jego przerażonej twarzy pomachała mu palcami i od razu pomaszerowała do drzwi.

- Porozmawiamy, gdy odpoczniesz, kochanie - powiedziała. - I nie martw się. Znam Hattie. To na pewno jakiś drobny żart z jej strony.

Drobny żart! Josie Nolan...

Josie Nolan zarządzała pensjonatem. Dawno temu była jednym z „kulawych kaczątek” Hattie. Josie, mieszkając w pobliżu w rodzinie zastępczej, wiele czasu spędzała, wpatrując się w duży stary dom Hattie i Waltera. W końcu ciotka Hattie zaprosiła ją do środka. Josie, pomagając w prowadzeniu pensjonatu, mogła jednocześnie studiować w college'u. Po zrobieniu dyplomu została, aby dalej pomagać Hattie.

Sam poznał Josie, gdy była wielkooką, ciemnowłosą piętnastolatką, on zaś dwudziestodwuletnim światowcem. Rozmawiał z nią, żartował i zapominał o niej natychmiast po wyjeździe.

Oczywiście, przez wszystkie te lata słyszał opowieści Hattie o Josie, ale zapamiętał ją jako dziewczynę o dużych oczach, rumieniącą się za każdym razem, gdy na nią patrzył.

Naprawdę zdołał się jej przyjrzeć dopiero ubiegłej jesieni, gdy schronił się w pensjonacie ciotki, by uniknąć roli drużby na ślubie swej byłej narzeczonej.

Wówczas prawie jej nie poznał. Tak jak dawniej miała duże oczy i ciemne włosy, ale nabrała kobiecych kształtów i biustu... A jej nogi...

Zaskoczyła go długość nóg Josie Nolan. Nie uważał się za mężczyznę, który przywiązuje wagę do kobiecych nóg. Do licha, nawet nie pamiętał, jakie nogi miała jego była narzeczona! Nie mógł jednak przestać myśleć o nogach Josie Nolan.

Pocieszał się, że to dlatego, iż od nowa zaczął zauważać kobiety, odkąd Izzy go porzuciła. Właściwie miała rację, zrywając zaręczyny! Rozumiał ją i przyjął ten cios ze spokojem. Wystarczyło spojrzeć na Izzy, by od razu domyślić się, że o wiele bardziej kochała Finna.

Ale wszystko miało swoje granice. Nie był w stanie spokojnie iść do kościoła i patrzeć, jak Izzy sunie w białej sukni na spotkanie innego mężczyzny.

Pojechał do Dubuque i spędził tam cały tydzień, malując ściany, tapetując i... robiąc inne rzeczy.

Te „inne rzeczy” zaczęły go teraz niepokoić.

Czyżby Josie powiedziała Hattie, co wydarzyło się ostatniej nocy?

Właściwie przydałoby się, by i jemu ktoś wszystko dokładnie przypomniał.

Pamiętał tylko zalaną łzami twarz Josie Nolan, gdy otworzyła mu drzwi. Do licha, nie powinien tam pójść! Zamiast odgrywać rolę dobrego samarytanina, powinien udawać, że nie słyszy jej zduszonych łkań.

Bóg jeden wiedział, że wcale nie był w formie, by pocieszać kogoś innego. On sam wymagał pocieszenia... To była poślubna noc Izzy i Finna!

Po kolacji wrócił do swego pokoju z butelką najlepszej irlandzkiej whisky zmarłego wuja Waltera. Miał nadzieję, że ta niezawodna towarzyszka zdoła go pocieszyć.

Być może to alkohol wyostrzył mu słuch. A może ściany były cieńsze niż na to wyglądały? Tak czy owak, usłyszał zaskakujące dźwięki. Wiedział, że Josie oczekuje swego narzeczonego, Kurta. Miał zabrać ją na kolację z okazji jej urodzin. Zauważył, że nerwowo spacerowała po salonie, a potem stała na ganku, wpatrując się w drogę. Czyżby ten łajdak się nie pokazał?

Sam tego wówczas nie wiedział. Jeszcze nie.

Ale wtedy poszedł i zastukał, a drzwi otworzyła mu Josie w szlafroku z twarzą zalaną łzami. Powinien był odwrócić się i uciec. Ale tego nie zrobił. Poczul współczucie. Uśmiechnął się delikatnie i powiedział:

- Mówią, że na frasunek dobry trunek. Chodź i napij się ze mną.

Niewiele pamiętał z tego, co wydarzyło się później. Były czułe słowa, uśmiechy i pieszczoty. Przypominał sobie, że zatopił palce w jej długich, ciemnych włosach i głęboko wciągał w płuca zapach cynamonu, którym pachniały. Pamiętał, jak przesuwiał dłońmi po jej długich, smukłych i bardzo gładkich nogach. A potem, po kolejnych toastach za byłe narzeczone i narzeczonych, nastąpiły kolejne pieszczoty i pocałunki... Przypomnił sobie jeszcze - och, tak, pamiętał dokładnie - jak otoczyła go swymi długimi nogami. A potem...

Pamiętał, że nazajutrz rano obudził go potworny ból głowy i dzwonek telefonu komórkowego. Elinor, jego sekretarka, poinformowała, że pan Nakamura przyjeżdża dziś po południu, żeby omówić z nim transport mebli z drewna tekowego.

Sam obiecał, że będzie na miejscu.

Rozejrzał się niepewnie po pokoju. Może to był tylko sen? Zapewne, Josie, jak przystało na gospodynię, przygotowywała śniadanie dla gości i już jej tu nie było.

W ogóle mogło jej tu nie być. Ale na stoliku przed kominkiem stały dwie brudne szklanki... Gdy rozejrzał się dokładniej, w pościeli znalazł damską bieliznę.

Zanim zszedł na dół, spakował walizki. Powinien z nią porozmawiać. Ale nie wiedział, co powiedzieć.



W kuchni zamiast Josie, spotkał Hattie.

- Kurt dzwonił - oznajmiła. - Chciał się z nią zobaczyć. Namówiłam ją, żeby poszła. - Uśmiechnęła się. - Przykro jej będzie, że się z tobą rozminie.

Sam mocno w to wątpił.

Na pewno już zdążyła pożałować tego, co stało się wczorajszej nocy. I pędem powróciła do Kurta, gdy tylko zadzwonił. To dobrze. Zaoszczędziła mu w ten sposób zrobienia z siebie jeszcze większego głupca, gdy mamrotałby nieskładne słowa przeprosin... Ale tylko na siedem miesięcy. Teraz będzie musiał je wypowiedzieć.

Trzeba jakoś wybrnąć z tej nonsensownej sytuacji, w jaką wpakowała go Hattie. Pensjonat wiele zawdzięczał Josie. To ona nań zasługiwała. Dla niego stanowił jedynie kłopot...

W porządku, odda go Josie.

Nie, do diabła, tego nie może zrobić! Zaczną się problemy z podatkami. Josie nie udźwignie finansowo takiego podarunku i nie utrzyma pensjonatu. Być może zresztą wcale go nie zechce... Może wyszła już za mąż za Kurta?

Nadęty, irytujący Kurt z pewnością nie będzie sobie życzył, by Josie miała coś, co by odwracało jej uwagę od niego.

Sam znów jęknął żałośnie, próbując ogarnąć cały problem. Był przekonany, że sprawa nabierze jaśniejszych barw, gdy miną skutki zmiany czasu. Rano wszystko nabierze sensu. Wcześniej czy później ranek musi nadejść.

Nie miał nawet siły zwlec się z sofy i pójść do sypialni. Zwinął się w kłębek i podsunął pod głowę poduszkę.

- Hattie, co u diabła strzeliło ci do głowy? - wymamrotał w ostatnim przebłysku świadomości.

Przeznaczył całą dobę na lot do Dubuque, ułożenie się z Josie i nakłonienie jej, by prowadziła pensjonat do czasu znalezienia odpowiedniego kupca, oraz na powrót do Nowego Jorku, gdzie czekało go niezwykle ważne spotkanie z grupą tajskich biznesmenów.

Wolałby poczekać na powrót Hermana Zuppera i obarczyć go problemem pensjonatu. Lepiej byłoby załatwić tę sprawę za pomocą poczty, telefonu, faksu...

A najlepiej byłoby nic nie odziedziczyć. I w ogóle tam nie jechać.

Ale musiał pojechać. Choć tyle winien był Hattie, która go kochała, dzwoniła do niego i podtrzymywała na duchu, gdy najbardziej tego potrzebował.

Żałował teraz, że nie wybrał się do niej na święta. Zadzwoiła i zachęcała go do przyjazdu. Pamiętał, że zaskoczył go wówczas dziwny ton jej głosu. Zazwyczaj Hattie przysyłała telegramy, gdy miała mu coś do zakomunikowania. Ale tym razem, co było nietypowe, zadzwoniła.

- Naprawdę powinieneś przyjechać, Sam - powiedziała.

Ponieważ jednak nie była tak stanowcza jak zwykle, z łatwością się wykręcił. Powiedział, że jest zajęty. I była to święta prawda - był zajęty. Ale czy aż tak, że nie mógł wyrwać się na kilka dni? Nie, aż tak zajęty nie był. Powinien zabrać Amelię i spędzić z Hattie jej ostatnie Boże Narodzenie.

Nie zrobił tego z powodu Josie... Byłoby niezręcznie, niewygodnie, żenująco. Do diabła, miała poślubić Kurta w grudniu, zaraz po jego dyplomie.

Może musiałby iść na jej ślub i prowadzić ją do ołtarza? O, nie, wielkie dzięki!

Toteż musiał odmówić ostatniej prośbie ciotki. A teraz było już za późno na naprawianie błędów. Teraz i tak musiał pojechać, ponieważ kochał Hattie i był jej to winien.

Sam Fletcher zawsze płacił swoje długi.

- Witaj, Sam. - Siwowłosy staruszek, siedzący na huśtawce na ganku, skinął do Sama podążającego ścieżką w poprzek trawnika.

- Witaj, Benjaminie! - Sam uśmiechnął się, pomachał ręką i przyspieszył kroku na schodkach prowadzących na werandę, - Jak się masz? - Wyciągnął rękę do starszego mężczyzny.

- Brakuje mi Hattie... - odpowiedział staruszek z westchnieniem.

- Tak - rzekł współczującym tonem Sam. Tego się spodziewał.

Benjamin Blocker wiele zawdzięczał Hattie. Podobnie jak Josie należał do jej „kulawych kaczątek”.

Kiedyś Benjamin pracował na należącej do męża Hattie, Waltera, barce kursującej po Missisipi. Nie można jednak było na nim polegać, ponieważ za dużo pił, został więc zwolniony. Wiele razy przysięgał sobie, że skończy z nałogiem, ale mu się to nie udawało. Od czasu do czasu pojawiał się na progu domu Waltera, dostawał coś do zjedzenia i znikał.

Pewnego razu, już po śmierci Waltera, zjawił się w pensjonacie akurat w momencie awarii hydraulicznej. Benjamin znał się na hydraulice i uratował sytuację.

- Dlaczego tutaj nie zostaniesz? - spytała wówczas wdzięczna Hattie.

- Zawsze się znajdzie coś do roboty.

- Naprawdę tak pani uważa? - Sam dobrze pamiętał słowa starego człowieka.

- Przyda mi się ktoś do pomocy - powtórzyła Hattie.

I Benjamin został. W dodatku świadomość, że był komuś potrzebny, dodała mu skrzydeł. Już nigdy nie tknął alkoholu. Hattie dokonała więcej niż jakiegokolwiek programy resocjalizacyjnej. Od tej chwili Benjamin utrzymywał wszystkie instalacje w doskonałym stanie, zamontował nawet nowe wanny z jacuzzi w czterech pokojach. Naprawdę zarabiał na swoje utrzymanie.

Gdy Hattie kupiła mały domek nad urwiskiem w celu wynajmowania go gościom na dłużej, Benjamin pomagał w remoncie, a potem zamieszkał w nim jako dozorca. Rok przed śmiercią Hattie oddała mu domek do własnego użytku. W ten sposób go zabezpieczyła.

Ścieżką naprzeciw Sama szedł Cletus, kolejny podopieczny Hattie. Cletus miał co najmniej siedemdziesiąt pięć lat i on także był bez zajęcia, gdy Hattie spotkała go w kuchni jedzącego zupę. Pogawędzili o tym i owym i o kwitnących właśnie bzach.

- Pani bzy trzeba przyciąć na jesieni - zawyrokował Cletus. -I należałoby uporządkować peonie, a także zrobić nowe podpórki dla winogron.

- Potrafi się pan tym zająć? - spytała wówczas Hattie. Cletus zrobił podpórki, a potem został w pensjonacie

„Opoka”.

Postawił teraz taczkę pełną rozsąd kwiatowych i obrzucił Sama uważnym spojrzeniem.

- Jak się masz, Cletus! - Sam wyciągnął rękę. Staruszek ujął dłoń Sama, ale nie odpowiedział na uścisk.

- Dawno pana nie było - mruknął pod nosem.

- Przyjechałem tak szybko, jak mogłem. - Sam zmarszczył brwi. -

Byłem na Dalekim Wschodzie, gdy Hattie umarła. Nie mogłem przyjechać na pogrzeb.

Usłyszał kolejne mruknięcie. Właściwie dwa. Po jednym od każdego staruszka.

- Ale już jestem - podjął z uśmiechem. - Nie martwcie się. Wszystko załatwię.

- Mamy taką nadzieję. - Cletus patrzył nań surowym wzrokiem.

- Jestem pewien, że postąpi pan jak należy. - Benjamin z satysfakcją skinął do Cletusa.

Sam poczuł zadowolenie, że ktoś jednak w niego wierzy.

- Oczywiście, że tak - rzekł stanowczo i spojrzał na Cletusa, by sprawdzić, jak zareaguje. Napotkał bezkompromisowe, zimne jak stal oczy.

- Liczymy na pana - powiedział w końcu Cletus.

Co U diabła tu się dzieje? Czyżby obawiali się, że w tajemnicy przed nimi sprzeda pensjonat?

- Dopilnuję, byście zostali zabezpieczeni - obiecał.

- My nie martwimy się o siebie - wyjaśnił Cletus. - Chodzi o Josie.

- Zajmę się Josie - odparł Sam bez zająknięcia.

I najwyraźniej były to słowa, których po nim oczekiwali.

- Wiedziałem - powiedział rozpromieniony Benjamin.

- Porządny chłopak! - zgodził się Cletus i klepnął Sama w ramię.

Przez chwilę Sam upajał się dobrym mniemaniem o sobie, po czym spytał:

- Gdzie ona jest?

- W kuchni. Nie mówiła, że pan przyjedzie.

- Cóż, nie dzwoniłem - przyznał Sam, przestępując z nogi na nogę. -

Czy... czy ona wyszła za męża?

- Za męża? - Benjamin wpatrywał się w niego baranim wzrokiem.

Cletus zdjął okulary i przetarł szkła. Następnie założył je znów na nos i popatrzył na Sama surowo.

- Jeszcze nie - powiedział.

Sam westchnął głośno. Właściwie nie powinien być zaskoczony. Od początku nie miał do Kurta zaufania... Jego zdaniem Kurt zachowywał się zbyt nonszalancko w stosunku do kobiety, którą ponoć kochał.

- Pójdę z nią porozmawiać - oznajmił i skierował się w stronę tylnego wejścia.

Mógł, co prawda, wejść frontowymi drzwiami, ale wtedy musiałby użyć dzwonka i poczekać, aż zostanie wpuszczony. Josie zobaczyłaby go przez szybę, a to dałoby jej swego rodzaju przewagę. On zaś chciał, by przewaga była po jego stronie.

Zobaczył ją przez kuchenne drzwi. Stała za bufetem i układała w wazonach kwiaty. Josie była wysoka, o wiele wyższa od Izzy i miała gęste, długie, brązowe włosy, z których słońce wydobywało czerwony odcień. Sam pamiętał, że od pierwszej chwili pragnął zatopić w tych włosach palce. Musiał się stale powstrzymywać ostatkiem woli.

Gdyby teraz spojrziała do góry, zobaczyłaby, że nadchodzi. Ale była skupiona na układaniu kwiatów. Żonkile, tulipany, goździki - jaskrawe

bukiety, które wносиły atmosferę ogrodu do każdego pokoju. Tak kiedyś się wyraziła i Sam to zdanie zapamiętał.

Układała kwiaty również w dniu swoich urodzin -w dniu, w którym Kurt wystawił ją do wiatru. W dniu, w którym Sam zaprosił ją do swego pokoju na drinka...

Do diabła! Pozostawały mu tylko przeprosiny. Cóż mógł zrobić więcej? Musi przyznać, że popełnił błąd - że obydwójce go popełnili - i, jak przystało na cywilizowanych ludzi, powinni o tym zapomnieć.

Otworzył drzwi.

Josie z uśmiechem na twarzy podniosła wzrok. Ale na jego widok uśmiech zamarł na jej wargach, a twarz pobladła.

Sam powoli wciągnął powietrze.

- Josie... - powiedział głosem, który w jego przekonaniu wyrażał dystans, a zarazem koleżeństwo.

- Sam? - Przełknęła ślinę.

Był przyzwyczajony, że twarz Josie się rozjaśniała, gdy wchodził do pokoju. Był przyzwyczajony do iskerek w jej oczach i uśmiechu. Teraz Josie nie uśmiechała się wcale, a w jej oczach nie było ani jednej iskiereki. Patrzyła nań chłodno i jakby z bardzo daleka.

Sam zacisnął wargi, a potem uprzejmie skinął głową, jakby na znak, że akceptuje dystans, jaki między nimi zapanował. Skoro tego chciała, niech tak będzie.

- Przyjechałem tak szybko, jak mogłem - rzekł cierpko.

- Przykro mi, że nie mogłem być na pogrzebie. Byłem w Hongkongu, a potem musiałem jeszcze wpaść do Japonii.

- Oczywiście. - Podniosła goździk i bardzo starannie dołączyła go do bukietu. Nie powiedziała nic więcej. Ani „jak się masz”, ani że za nim tęskniła.

Zegar tykał. Nad domem przelatywał samolot. Sam bębnił palcami o udo.

- Powinienem przyjechać na święta - mówił z coraz większym zakłopotaniem. - Nie przyjechałem, ponieważ... - Nie przyjechałem z twojego powodu! Tego nie mógł powiedzieć. Głośno wciągnął powietrze i znów spróbował: - Ostatni raz, gdy tu byłem... Przykro mi... - Znów urwał.

Na pewno był jej winien przeprosiny. Ale z drugiej strony - ona też nie była bez winy. Tyle pamiętał. Do licha, gdyby tylko na niego spojrzała, dała mu jakąś wskazówkę...

Sam Fletcher, któremu kiedyś powiedziano, że cały promieniuje wdziękiem, w tej chwili czuł tylko, że oblewa się potem.

- Chodzi mi o tę noc - powiedział w końcu, decydując się na szczerość. - To był błąd. Duży błąd. Nie powinienem cię zapraszać do swego pokoju... A potem, cóż... - urwał.

- Do diabła, spójrz chociaż na mnie!

Podniosła oczy. Ale w niczym mu to nie pomogło. Twarz jej nie zdradzała żadnej myśli.

- Nie miałem zamiaru... - plątał się. - Nigdy nie chciałem, by to... to się stało. - Zarumienił się. - To wina whisky...

- Tak sądziłam. - Głos Josie był matowy, pozbawiony wyrazu. Odwróciła głowę i wyjrzała przez okno.

Sam opuścił wzrok, spodziewając się, że zobaczy te cudowne, nieskończenie długie nogi, którymi go kiedyś oplotła i...



W ogóle nie zauważył nóg. Zauważył natomiast brzuch. Josie była w ciąży... W dodatku w bardzo zaawansowanej ciąży!

- Spodziewasz się dziecka! - oświadczył takim tonem, jakby przed chwilą odkrył Amerykę. -I... i Kurt jeszcze się z tobą nie ożenił? - dodał bez zastanowienia.

I nagle ogarnęła go wściekłość. Do jakiego stopnia można być tak nieodpowiedzialnym!

Josie odwróciła się i spojrzała na niego poważnie.

- Dlaczego miałyby się ze mną ożenić? To nie jego dziecko.

- Nie jego...?

To nie było dziecko Kurta?! Sam był oszołomiony. Przez głowę przetaczała mu się burza myśli; usiłował je poskładać, przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o Josie Nolan. Zawsze uważał, że Josie nie należała do puszczałskich. Sprawiała wrażenie cichej, nieśmiałej i słodkiej dziewczyny. Lubił ją, szanował i współczuł z powodu niezbyt udanego dzieciństwa i pecha, jaki najwyraźniej miała do mężczyzn... Kurt na nią nie zasługiwał. Sam od początku tak uważał.

Ale być może się mylił... Zacisnął szczęki. Być może Josie była zupełnie inna.

- Przypuszczam, że wiesz, kto jest ojcem? - powiedział kwaśno.

Josie uniosła podbródek. Oczy miała wielkie jak spodki. Dopiero teraz Sam zauważył, że jej policzki pokrywa rumieniec.

- Owszem, wiem - powiedziała spokojnie. - Ty.

## ROZDZIAŁ DRUGI

---

A więc stało się, pomyślała Josie. Co za takt! Co za subtelność! Ale trudno być subtelną, gdy jest się grubą jak nosorożec.

Z wysiłkiem powstrzymała westchnienie i starała się przybrać obojętny wyraz twarzy. Nie było to łatwe. Było trudniejsze, niż się spodziewała.

Przez ostatnie pół roku - od kiedy zdała sobie sprawę, że noc spędzona z Samem Fletcherem będzie miała konsekwencje nie tylko emocjonalnej natury - wiedziała, że ta chwila kiedyś nadejdzie. Odsuwała od siebie tę myśl, mimo że Hattie nalegała, by powiadomiła o wszystkim Sama, i zarzucała jej, że woli chować głowę w piasek.

Josie nazywała to instynktem samozachowawczym. Jakże miała przekazać mężczyźnie wiadomość, że zostanie ojcem, wiedząc, że on będzie nieszczęśliwy z tego powodu.

Wspólna noc była rezultatem wypitej whisky. Czyż tego nie powiedział? Oczywiście, że tak. I wówczas też o tym wiedziała. Ale nie miała siły odmówić.

Josie Nolan kochała Sama Fletchera, od czasu gdy skończyła piętnaście lat. Była to miłość bez wzajemności i bez nadziei. Jako realistka nigdy nawet nie zakładała, że milioner i światowiec zakocha się do szaleństwa w adoptowanej córce sąsiadki jego ciotki. Owszem, została protegowaną i gospodynią Hattie, ale zaczynała przecież od sprzątanania. Owszem, w dzieciństwie czytała bajkę o Kopciuszku, ale nie była przecież idiotką.

Coś jednak w tym było...

Gdy Sam Fletcher pojawił się na progu jej pokoju w dniu jej dwudziestych piątych urodzin - nieszczęśliwy i pragnący współczucia - nie miała siły zatrzaskać mu drzwi przed nosem.

Przez minione sześć miesięcy starała się wymyślić najlepszy sposób powiedzenia mu o dziecku. Ale nie było takiego sposobu. Wszystkie pomysły, jakie przychodziły jej do głowy, stawiały ją w położeniu przewrotnej intrygantki, usiłującej złapać go w pułapkę niechcianego małżeństwa.

Czasami próbowała się oszukiwać... Gdy przypominała sobie jego czułe pieszczoty i namiętne usta, wmawiała sobie, że pomiędzy nimi naprawdę coś było - że tęsknił za nią tak bardzo jak ona za nim i z radością przyjmie wiadomość o dziecku...

Ale w świetle dnia zdawała sobie sprawę, że były to płonne nadzieje.

Dopóki jednak się nie pokazał - dopóki nie stwierdził wyraźnie, że to był błąd - chwytala się słabego promyka nadziei. Ale wreszcie usłyszała: „Nigdy nie chciałem, by to się zdarzyło...”

Ona też nie... Ale stało się i będą mieli dziecko!

Czekała teraz, aż on zapyta twardym, stanowczym tonem, tak jak w swoim czasie zareagował Kurt: „I co zamierzasz z tym zrobić?!“.

Ale Sam Fletcher powtórzył słabym głosem:

- Moje dziecko...? - Nie był nawet zaczerwieniony. Pod opalenizną malowała się bladość. Nie krzyczał, mówił cicho i łagodnie.

- Tak - potwierdziła.

- Jesteś pewna?

Znów zeszywniała, a cień współczucia, jaki doń poczuła, zniknął.

- Tak, jestem pewna. - Na jej policzkach płonął rumieniec. - Mimo wrażenia, jakie mogłeś odnieść, nie mam zwyczaju sypiać z każdym!

- Nie miałem tego na myśli... - Był skonsternowany; westchnął ciężko i przesunął wierzchem dłoni po spłowiałych od słońca włosach. - Przepraszam, to dla mnie szok - wymamrotał pod nosem.

Nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Ale nie mógł powstrzymać się od ukradkowego spoglądania na jej brzuch.

Josie przyjęła przeprosiny w tym samym duchu, w jakim zostały poczynione - z niechęcią. Podniosła wazon i odwróciła się w stronę drzwi do holu. Nie zamierzała tu stać i świecić oczami! Do licha, najchętniej uciekłaby ukradkiem. Ale nie mogła tego zrobić. Niech ją diabli, jeśli to zrobi!

Została więc, wsłuchując się w krepującą ciszę.

- A więc... - chrząknął. - Czy zamierzałaś kiedykolwiek mi o tym powiedzieć? - Ton jego głosu wydawał się niefrasobliwy, prawie obojętny, ale Josie wprawnym uchem dosłyszała w nim napięcie.

- W końcu bym musiała... - Wzruszyła lekko ramionami, usiłując nad sobą zapanować.

- Musiałabyś! - Był zbulwersowany. I zły. - Nie przyszło ci do głowy, że może chciałbym wiedzieć?

- Szczerze mówiąc, nie.

Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami. A potem, jakby zdając sobie sprawę, że głupio wygląda, gwałtownie je zamknął. Ale nie spuszczał z niej wzroku.

Josie wojowniczo odwzajemniła jego spojrzenie.

- Cóż, zważywszy okoliczności... - podjęła. - Nie jest to powód do radości, nieprawdaż?

- Mam rozumieć, że nie chcesz tego dziecka? - Mięśnie twarzy drżały mu konwulsyjnie.

Przycisnęła rękę do brzucha.

- Do diabła, wcale tego nie powiedziałam! Chcę tego dziecka!

Tego była absolutnie pewna. Sama była dzieckiem obojętnych, nieodpowiedzialnych rodziców. Od wczesnego dzieciństwa przechodziła z rąk jednej rodziny zastępczej do drugiej. Nie zamierzała pozwolić, by coś podobnego przytrafiło się jej dziecku! Pragnęła je kochać i opiekować się nim najczulej jak to tylko możliwe.

- Ale trudno mi sobie wyobrazić, żebyś ty tego chciał - powiedziała. - Co o tym sądzisz? - spytała z okrutną wprost szczerością.

Przez dłuższą chwilę milczał.

Josie znacząco pokiwała głową i popychając przed sobą wózek z wazonami, opuściła kuchnię.

Niewiele rzeczy potrafiło wstrząsnąć Samem Fletcherem. Czyż nie był podróżującym po całym świecie biznesmenem najwyższego kalibru? Czy nie wynegocjował z władcą małego azjatyckiego królestwa wyłączności na import mebli, za które jego konkurenci daliby się pokrajać na kawałki? Czy bezustannie nie podejmował decyzji wartych wiele milionów dolarów, od których w dodatku zależał los wielu ludzi? Czy wreszcie nie potrafił zachować kamiennego spokoju, gdy jego narzeczona porzuciła go dla innego mężczyzny?

Tak, tak, tak i jeszcze raz tak!

Ale świadomość, że będzie ojcem dziecka kobiety, którą samą pamiętał jako dziecko - mogła poruszyć najspokojniejszego z ludzi.

Sam był nie tylko poruszony. Czuł się wyprowadzony z równowagi. Stłumił pierwszą myśl i na szczęście nie powiedział Josie Nolan, że ma źle w głowie. Cóż, brak pamięci o tym, co wydarzyło się tamtej nocy, mógłby jedynie świadczyć o jego kompletnej nieodpowiedzialności.

Drugim naturalnym odruchem była chęć ucieczki. Odwrócić się na pięcie, pomknąć do drzwi i nigdy więcej nie wrócić.

Ale Sam Fletcher nie uciekł. Nigdy w życiu przed niczym nie uciekał. Od dzieciństwa był obowiązkowy, odpowiedzialny, potrafił przewodzić innym i podejmować słuszne decyzje.

Przyjechał do Dubuque właśnie z poczucia odpowiedzialności. Zamierzał znaleźć kupca na pensjonat oraz - ponieważ Hattie sobie tego życzyła - znaleźć dom dla trzech kotów, psa i ptaka.

Wyobrażał sobie, że po przełamaniu pierwszych lodów będzie śmiać się wraz z Josie z testamentu, w którym Hattie zostawiła mu w spadku... kobietę!

Teraz to wcale nie wydawało się śmieszne.

Testament posłużył Hattie do zrobienia tego, czego nie zrobiła Josie - sprowadzenia go do Dubuque i poinformowania o zaistniałej sytuacji.

Właściwie powinien jej być za to wdzięczny... Ale na razie był po prostu roztrzęsiony.

Naprawdę zostanie ojcem?

To był wystarczający powód do zdenerwowania. Ale jeszcze gorsza była świadomość, że gdyby nie testament Hattie, mógłby się nigdy o tym nie dowiedzieć.

Sam miał wrażenie, że czeka na wyrok.

Przez ten czas Josie meldowała gości, roznosiła kwiaty do pokojów, dostarczała szampana nowożeńcom, rezerwowała stoliki na wieczór i informowała o lokalnych atrakcjach. Gdy wróciła do kuchni, Sama tam już nie było.

- Wyjechał - zakomunikował Cletus.

- Dałaś mu do wiwatu! - zawyrokował Benjamin.

Zaprzeczyła, ale nie mogła zapomnieć wyrazu jego twarzy.

Przemknęło jej przez myśl, że może widziała go po raz ostatni. Ale nie... Wypożyczony przez niego samochód stał na podjeździe. Przypomniała sobie, że gdy chciał coś przemyśleć, zwykł chodzić na spacer do portu jachtowego albo nad rzekę.

- On potrzebuje przestrzeni - tłumaczyła wtedy Hattie. - Szerszej perspektywy spojrzenia.

Josie właściwie nie była pewna, czy chce, by Sam wrócił. Jeśliby nie wrócił, mogłaby udawać, że go w ogóle tu nie było...

Reszta popołudnia mijała pracowicie; goście przyjeżdżali i wyjeżdżali, odpowiadała na setki pytań i robiła rezerwacje. Ale Sama nadal nie było.

To dobrze, pomyślała. Nie, niedobrze... Do licha, nie wiedziała, czego chce! Chodziła nerwowo po korytarzu, wyglądała przez okna, wyszła nawet na dwór, by popatrzeć na drogę dojazdową. I nic.

Popołudnie przeszło w wieczór, wieczór - w zmierzch i wreszcie chłodna kwietniowa noc skłoniła ją do schronienia się w domu. Weszła zrazu do kuchni, ale to pomieszczenie zbyt przypominało o popołudniowym spotkaniu.

Zeszła po schodach do znajdującej się w piwnicy pralni. Gdyby chciał ją tu znaleźć, po skrzypiących schodach poznałaby, że nadchodzi. Nie chciała po raz drugi dać się zaskoczyć.

To głupie, że się denerwowała. Przecież i tak nic się nie zmieni, mimo że Sam już wie. Nadal będzie w ciąży. Nadal jej miłość pozostanie nie odwzajemniona.

Och, dlaczego nie chciała Kurta? To pytanie zadawała sobie tysiąc razy. Jej zdaniem był zbyt cnotliwy i zbyt zasadniczy... Był przekonany, że jego praca jest ważniejsza niż żona. A może miał rację? W każdym razie nie musiał podkreślać, że głupio zrobiła, kosztując zakazanego owocu...

Ostrożnie, trzymając się poręczy, schodziła po schodach. Kiedyś tędy zbiegała... Teraz jednak musiała poruszać się z większą ostrożnością.

Szkoda, że nie zachowała się ostrożniej siedem miesięcy temu!

Wyjęła z kosza ręczniki i rzuciła je na blat. Zaczęła je składać, przesuwając dłońmi po miękkiej tkaninie. Ta mechaniczna praca uspokajała. Gdy ułożyła jeden stos, pochyliła się po następną partię.

Dziecko kopnęło.

Josie uśmiechnęła się do siebie. Nawet w chwilach największego zdenerwowania dziecko potrafiło ją rozbroić. Być może to głupie, ale czuła się tak, jakby wewnątrz siebie miała sprzymierzeńca i zaufanego powiernika. Nie było już Josie i reszty świata. Teraz było ich dwoje.

- Obudziłeś się, prawda? - zagaiła czule. Odłożyła ręczniki i pogłaskała się po brzuchu. Poczowała kolejne, delikatne kopnięcie. Znów się poklepała i uśmiechnęła. Miała wrażenie, że porozumiewa się alfabetem Morse'a z maleńką istotką, którą nosi pod sercem. - Miałeś ciężki dzień? - spytała.



- Ja też... I będzie jeszcze gorzej - przyznała, wygładzając kolejny ręcznik.

Dziecko znów kopnęło.

- Co ci jest?

Niemal podskoczyła, strącając na podłogę stos ręczników. Odwróciła się i popatrzyła z konsternacją w odległy koniec piwnicy z winem, gdzie w cieniu stał Sam.

- No i co zrobiłeś! - jęknęła.

- To najmniej ważna rzecz, jaką zrobiłem - powiedział ponuro, wychodząc na środek piwnicy.

Josie instynktownie cofnęła się o krok.

- Co się stało? - zapytał. - Boli cię coś?

- Nie. - Potrząsnęła przecząco głową. - Kopnęło mnie, to wszystko.

- Kopnęło? - Był zdziwiony.

- Dziecko.

Spojrzał na jej brzuch. Nie potrafiła wyciągnąć wniosków z wyrazu jego twarzy. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Ale w końcu oblizal tylko wargi i potrząsnął głową. Pochylił się, by podnieść ręczniki.

Josie obserwowała go w milczeniu.

- Czego szukałeś w piwnicy z winem? - spytała w końcu.

- Nie przyszedłem tu po kolejną butelkę, jeśli to masz na myśli. -

Wyprostował się, kładąc ręczniki na blacie.

- Możesz je włożyć z powrotem do pralki - powiedziała gniewnie. -

Są znów brudne.

Posłusznie wykonał polecenie, potem udzielił prostego wyjaśnienia:

- Myślałem.

- W piwnicy?

- Wydawało mi się, że to odpowiednie miejsce.

Josie zacisnęła usta. Odwróciła się, zamknęła klapę pralki i sięgnęła po proszek. Nastawiła właściwy program. Nie miała nic więcej do powiedzenia.

- Przyjechałem tu, ponieważ Hattie zostawiła mi pensjonat - podjął Sam.

- Wiem. - Nie patrzyła na niego.

- Sądziłem, że zostawi go tobie... Włączyła wreszcie pralkę i odwróciła się.

- Dlaczego miałyby tak postąpić? Nie należę do rodziny.

- Byłaś jej bliższa niż ktokolwiek inny. Jak córka, a raczej wnuczka, której nigdy nie mieli. Kochała cię! - Zabrzmiało to niemal jak oskarżenie.

- Ja też ją kochałam - powiedziała gwałtownie Josie, patrząc mu prosto w oczy. - Była dla mnie jak matka... jak babka, której nigdy nie miałam. Ale nie oczekiwałam, że zostawi mi pensjonat! Zrobiła już dla mnie dość. Założyła mi fundusz powierniczy. Możesz dowiedzieć się szczegółów od pana Zuppera. Jeden dla mnie... a drugi dla dziecka - dodała.

- I miałaś dostać pensjonat - upierał się Sam. - Gdy byłem tu na jesieni... gdy Izzy.

- Wiem, kiedy byłeś - przerwała mu ostro Josie. Jak mógł pomyśleć, że zapomniała!

Sam gwałtownie wciągnął powietrze.

- W porządku, wiesz kiedy. Otóż, powiedziała mi wtedy, że po jej śmierci nie będę się musiał martwić o pensjonat. Oczywiście, powiedziałem jej, że wcale nie umrze i...

- Przerwał, a Josie dosłyszała ból w jego głosie.

- Nikt z nas nie wiedział, że ona umrze - powiedziała.

- Nikt nie podejrzewał...

- Hattie wiedziała. Powiedziała wówczas: „To moje stare serce dłużej nie wytrzyma. Musisz o tym wiedzieć”. A potem oświadczyła mi, że zamierza pozostawić pensjonat tobie. -Potarł dłonią kark. - A więc, gdy zostawiła go mnie... wraz z tobą, zrobiła to celowo.

Josie gwałtownie uniosła głowę.

- Pozostawiła ci mnie?

- Myślałem, że to żart.

- Bo to jest żart - powiedziała stanowczo.

- Nie. - Sam potrząsnął głową. - Ona miała rację. -Przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą; ręce trzymał w kieszeniach. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w podłogę. Wreszcie uniósł wzrok i spojrzał na Josie. - Pobierzemy się - oświadczył.

Te oświadczenia pozostawiały wiele do życzenia. Dla Josie był to właściwie cios w serce.

Pobierzemy się... Tak po prostu. Jakby była to ostatnia klauzula w handlowych pertraktacjach. Przypuszczała, że wszystkie kontrakty, które negocjował Sam Fletcher, kończyły się zgodnie z jego życzeniem.

Ale w tym wypadku on tego nie chciał!

Doskonale wiedziała, że tego nie chciał. To malowało się na jego twarzy, w jego oczach. Słyszała cień rezygnacji w jego głosie. Dlaczego

zresztą miałoby być inaczej? Nie kochał jej. Nie chciał ich dziecka. Oświadczył jej się, ponieważ zmusiła go do tego Hattie, a poza tym uważał się za dżentelmena. I Hattie to przewidziała.

- Dziecko ma prawo znać swego ojca - powiedziała jej kiedyś Hattie delikatnym tonem.

- Wiem - odparła Josie. - Po prostu... nie mogę mu powiedzieć. Jeszcze nie teraz.

- A kiedy?

- Kiedyś - rzekła wymijająco, a ilekroć Hattie wracała do tej sprawy, zmieniała temat.

- Powiesz mu o tym, gdy przyjedzie na święta - zgodziła się wreszcie Hattie.

Ale gdy Sam nie pojawił się na święta, zauważyła w oczach Hattie rozczarowanie i niepokój. Josie wiedziała, dlaczego Sam nie przyjechał... Hattie nie wracała już więcej do tematu.

Dopiero gdy odczytano testament, wszystko stało się jasne. Hattie starannie dopilnowała, by Sam dowiedział się jednak o dziecku.

Dlatego zapisała mu pensjonat... Wiedziała, że Sam przyjedzie i - zgodnie z jej nadziejami, a ku przerażeniu Josie - poprosi Josie o rękę.

Nie tak wyobrażał sobie zaręczyny. Stał w piwnicznej pralni z rękami zaciśniętymi w pięści, a jego przyszła ciężarna narzeczona nawet nie chciała na niego spojrzeć.

Nie tak oświadczał się Izzy... Pamiętał, że stało się to w przytulnej restauracji na szczycie Knob Hill przy świetle świec. Śmiali się wówczas i pieszczotliwie dotykali, a Izzy patrzyła nań z promiennym uśmiechem.

Teraz stał w dusznej pralni i nikogo nie dotykał. Głos miał chłodny i sztywny. Zamiast uśmiechać się promiennie, Josie przypominała osobę porażoną prądem.

Przecież nie mogła to być dla niej niespodzianka. Musiała zdawać sobie sprawę, co jej zaproponuje. Czego właściwie oczekiwała? Wyznania o wiecznej miłości? Trudno. Nie mógł tego powiedzieć, zwłaszcza że całkiem niedawno oświadczył, że wydarzenia tamtej nocy uważa za błąd.

Zachował się jak przystało na dżentelmena. Popatrzył na nią wyczekująco. Miał nadzieję, że ona to zrozumie i również postąpi jak należy.

Ale Josie powiedziała:

- Nie.

Sam zeszywniał. Mimo że tym razem nie był to efekt zmiany stref czasowych, zdawało mu się, że nie dosłyszał.

- Nie? - Musiał się upewnić.

- Nie, dziękuję - odparła takim tonem, jakby dziękowała za ciastko.

- Dlaczego nie, u diabła? - Zacisnął szczęki.

Na litość boską, nie chodziło o to, by chciał się z nią naprawdę ożenić! Był przyzwoitym człowiekiem i dlatego składał tę propozycję. I powinna ją zaakceptować!

- Kiedy będę wychodzić za mąż, zrobię to z miłości - powiedziała szczerze.

Wpatrywał się w nią przez chwilę w niemym zdziwieniu. Następnie rozejrzał się po maleńkiej pralni, a potem przeniósł wzrok na jej pozbawiony zaręczynowego pierścionka serdeczny palec.

- Wybacz, jeśli się mylę - wycedził - ale nie zauważyłem, by twoja prawdziwa miłość nadal dążyła do ślubu.

Twarz Josie skurczyła się w wyrazie bólu.

- Masz rację... - wykrztusiła cicho i opuściła wzrok na swoje ręce.

Och, do diabła! Poczul się tak, jakby kopnął szczeniaka.

- Nie miałem na myśli... - wymamrotał zakłopotany. Chciał wyciągnąć do niej rękę, pocieszyć ją, ale nagle przypomniał sobie, dokąd go to zaprowadziło ostatnim razem. Wycofał się gwałtownie. - Przykro mi - dokończył.

Ale naprawdę wcale nie było mu przykro. Od dawna uważał, że Kurt Masters nie zasługiwał na tak miłą, otwartą, uroczą i tak oddaną dziewczynę jak Josie. Nie sądził jednak, by Josie chciała to teraz usłyszeć.

- Kurt nie znaczy dla mnie nic - powiedziała po chwili. Sam nie zamierzał się o to spierać.

- Cieszę się, że to słyszę - rzekł szorstko. - Dlaczego więc mi odmawiasz?

- Powiedziałam już.

- Ponieważ pragniesz miłości? - Niemalże wypluł te słowa. - A co z dzieckiem? Nie chcesz, by ono zaznało miłości?

- Oczywiście, że tego chcę! - odparła wzburzona.

- Ale pozbawiasz je miłości ojca.

- Nie kochasz go przecież - powiedziała spokojnie.

- Skąd, u diabła, wiesz?! - Pochylił się ku niej i oddychał teraz prosto w jej szyję.

- Ponieważ od dziesięciu lat, odkąd cię znam, ani razu nie słyszałam, byś chciał mieć dzieci.

- Być może zmieniłem zdanie.

- Daj spokój! - Przewróciła tylko oczami.

- To ty daj spokój. Ty miałaś czas się do tego przyzwyczaić. Dla mnie to prawdziwe zaskoczenie.

- Nic nie stało na przeszkodzie, byś w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy się tutaj pokazał - podkreśliła z przesadną uprzejmością.

- Myślałem, że lepiej będzie dla nas, gdy będę się trzymał z daleka.

- Lepiej być może dla ciebie. Wziął głęboki oddech.

- Jestem odpowiedzialnym człowiekiem, Josie, i zrobię to, co należy zrobić...

- Jesteś pewien, że właśnie tego chcesz?

Otworzył usta i zawahał się na moment. Josie tego się właśnie spodziewała.

Skrzyżowała ręce na piersi i powiedziała spokojnie i stanowczo:

- Nie chcesz się ze mną ożenić, Sam. Nie chcesz tego dziecka.

Chcesz jak najszybciej sprzedać pensjonat, wyjechać stąd i nigdy tu nie wracać. Czy nie po to tu przyjechałeś?

- Ponieważ milczał, podjęła: - To Hattie chciała, byś tu przyjechał. Nie ja. Jak sam to wcześniej powiedziałaś, to był błąd.

- Zaczęła powoli zmierzać w stronę schodów. Odwróciła się na moment i popatrzyła mu prosto w oczy: - To był skutek whisky.

- Nie miałem na myśli...

- Ależ tak! Byłeś szczery. I wiedz jeszcze, że nie obwiniam cię za to, co stało się pod wpływem whisky.

- A jeśli chcę być odpowiedzialny?

- Do diabła z tobą, Sam! - Zaczęła iść na górę po schodach.

- Nie odchódź, Josie! - zawołał.

Z mocno zarumienionymi policzkami odwróciła się w połowie drogi.

- Nie krzycz - powiedziała z naciskiem. - Chyba nie chcesz, by „Opoka” straciła swą dobrą reputację?

- Do diabła z „Opoką”!

- Rób jak chcesz. - Wzruszyła ramionami. - W końcu to twój pensjonat.

- Chciałem się nim z tobą podzielić...

- A ja powtarzam: nie! -I dodała spokojniej: - Dziękuję. Z bezsilną wściekłością patrzył na jej plecy, gdy znikwała za rogiem. Potem wszedł na górę, przemaszerował przez kuchnię i z rozmachem otworzył drzwi na dwór. Udało mu się nie nakrzyczeć na gości, którzy siedzieli w salonie. Ale to już wszystko, na co go było w tej chwili stać. Wypadając na ganek, mocno trzasnął drzwiami.

Było gorzej, niż się spodziewała. Poprosił ją, by za niego wyszła... dlatego, że był dżentelmenem. Odpowiedzialnym i dobrze wychowanym człowiekiem.

Wszystkich tych cech pragnęła u swego męża. Ale nie mogła go mieć. Nie kochał jej przecież! I był na tyle uczciwy, by się do tego przyznać. To właśnie było najgorsze.

Josie zza zasłony wpatrywała się w trawnik na podjeździe. Widziała Sama, jak stał na krawędzi urwiska, skąd rozciągał się wspaniały widok na miasto. Ramiona miał opuszczone, a ręce sztywno wciśnięte w kieszenie dżinsów. Wiatr targał jego krótko przystrzyżone włosy. Wyglądał na człowieka przygniecionego wielkim ciężarem.



A powinien skakać z radości. Odmówiła mu przecież, czyż nie? Może jeszcze tego nie rozumiał. Gdy zrozumie, będzie zadowolony.

Ale nawet wówczas będzie się czuł odpowiedzialny. Zechce wszystko uporządkować. Taki właśnie był Sam. Zawsze taki był. Czyż tamtej nocy, gdy Kurt ją wystrychnął na dudka, nie przyszedł jej pocieszać?

Przez siedem miesięcy myślała tylko o nim... Miała nadzieję. .. marzyła... pragnęła... Och, była idiotką! Nie potrafiła zabić nadziei, że on się w niej zakocha.

Ale tak się nie stało. To był koniec.

Oczywiście Sam nie byłby sobą, gdyby nie zabezpieczył dziecka finansowo. Zapewne ustanowi kolejny fundusz powierniczy, myślała z goryczą. I co roku latem pewnie zechce spędzić z dzieckiem dwa tygodnie... Josie nie będzie protestować. Miał do tego prawo. Będzie uprzejma i wdzięczna w granicach rozsądku. A on w duchu będzie czuł ulgę, że udało mu się kulturalnie wywinąć z opresji.

Tylko że ona, Josie, będzie związana z Samem Fletcherem przez resztę życia... Cóż, będzie jej ciężko, ale poświęci się. Dla dobra dziecka.

Czyżby tylko? - zadrwiła z samej siebie, wypatrując nad urwiskiem jedyne go mężczyzny, jakiego w życiu kochała.

Musiała szczerze przyznać, że cieszyła się na myśl, że Sam pozostanie częścią jej życia.

Nie chciała go zmuszać do małżeństwa bez miłości, ale pragnęła żyć blisko niego - wiedzieć, co robi, gdzie przebywa, jak żyje.

Chodziło tylko o to, by wiedzieć.

Powiedziała „nie"! Sam nadal nie mógł w to uwierzyć.

Stało się już regułą, że kobiety dawały mu kosza... Najpierw Izzy, teraz - Josie.

Tak mocno zacisnął szczęki, że rozboleła go głowa. Zmusił się, by wziąć głęboki oddech. Ale to nie pomagało. Przechadzał się brzegiem urwiska, ale wcale nie podziwiał widoków. W ogóle nic nie widział poza katastrofą, jaką stał się dlań dzisiejszy wieczór, a raczej - całe przyszłe życie!

Przecież nie odznaczał się szczególnie ciężkim charakterem. I mógł utrzymać rodzinę na odpowiednim poziomie finansowym. Poza tym był całkiem przystojny. Przynajmniej tak mu się zdawało.

Na czym więc polegał problem?

- Chcę wyjść za mąż z miłości - wymamrotał falsetem, przedrzeźniając Josie. Ze złością kopnął kamyczek leżący na ścieżce. - Do diabła, kochanie, ja też!

Ale teraz było dziecko. O nim powinien myśleć. Jego dziecko. Jej dziecko. Ich dziecko.

Może nie pamiętał wszystkiego, co wydarzyło się tamtej nocy - ale przecież dobrze wiedział, że jego ciało i... jego uczucia zareagowały na Josie. Ona też zareagowała.

Mógłby się założyć, że nadal by reagowała!

Obejrzał się w stronę domu. W oknie na górze zasłona poruszyła się lekko. Zmrużył oczy.

- Jesteś pewna, że odmawiasz, Josie Nolan?! - krzyknął do kobiety, która ukrywała się za zasłoną. Sam Fletcher nigdy się nie poddawał.

## ROZDZIAŁ TRZECI

---

To było przeznaczenie...

Z pewnością Bóg nie płatał takich figli. Nie mógł umieścić Sama celowo w pokoju sąsiadującym z jej pokojem, w łóżku stojącym przy tej samej ścianie, przy której stało jej łóżko...

Przyszło jej nagle do głowy, że dziś w ogóle nie będzie go gdzie położyć. Pensjonat był przepelniony. Nawet jej pokój, na mansardzie, który przerobiła po śmierci Hattie na pokój gościnny, był wynajęty.

- Powinieneś być zadowolony, że pensjonat jest pełen - powiedziała do Sama. - Masz dzięki temu większe zyski.

- Do diabła z zyskami! Gdzie będę spać?

Gdy o dziesiątej zapukał delikatnie do jej drzwi, nie wspomniał już ani słowem o ślubie. Był lodowato uprzejmy i pytał, gdzie ma wnieść swoje rzeczy. Lodowaty spokój przerodził się w irytację, gdy dowiedział się, że nie ma wolnych pokoi.

- Zadzwoń do pensjonatu Taylora - oświadczyła Josie.

- Dziękuję. - Spojrzał w głąb pokoju, który teraz stanowił część apartamentu Josie. - Prześpię się w saloniku.

Gdy czasami nie było pokoi, Hattie go tutaj umieszczała.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Dlaczego nie? - Uniósł brew. - Czyżbyś ten pokój też wynajęła?

- To jest teraz mój pokój.

- Śpisz w saloniku? - zdziwił się.

- To część mojego apartamentu - wyjaśniła stanowczo.

- Już zdążyłaś się przeprowadzić? Hattie leży w grobie zaledwie od kilku tygodni!

Słowa te podziałały na Josie jak uderzenie batem. Twarz jej stanęła w płomieniach.

- Przepraszam, nie chciałem tego powiedzieć - bąknął zakłopotany. - Zazwyczaj nie jestem tak nietaktowny...

- Zazwyczaj nie jesteś - przyznała kwaśno.

- Ale też nie codziennie dowiaduję się, że będę ojcem.

- Przeszył ją wzrokiem.

Zacisnęła wargi i skrzyżowała ramiona. W żadnym razie nie zamierzała go przeproszać.

- Zadzwoń do pensjonatu Taylora - powtórzyła.

- Nie trudź się. Będę spać w pokoju kredensowym.

- Nie wygłupiaj się, Sam! Tam jest tylko kozetka.

- Skoro nie pozwalasz mi skorzystać z saloniku - prowokował.

- Nie pozwalam. - Zacisnęła usta.

- Byliśmy już bliżej siebie niż w sąsiadujących pokojach.

- Uniósł drwiąco kącik ust.

- Powiedziałam: nie! - Czuła, że nadal płoną jej policzki.

- W porządku! - Cofnął się o krok, unosząc do góry dłonie. - Idę do pokoju kredensowego!

Josie obserwowała go - zła i sfrustrowana.

- Rób, co chcesz! - rzuciła za nim. I dostań skrętu szyi! Dobrze ci tak, dodała już w myślach.

Zamknęła drzwi, ledwie powstrzymując się, by nimi nie trzasnąć i wróciła do swej sypialni. Późnym wieczorem spodziewała się jeszcze

jednej pary gości. Zazwyczaj czekała na dole w kantorku, ale dziś nie chciała już pokazywać się Samowi na oczy.

Godzinę później zadzwonił telefon i odwołano rezerwację. Odłożyła słuchawkę i przymknęła oczy.

- Do diabła - szepnęła. - Nie muszę tego robić. Oczywiście, że nie muszę.

Ale Josie Nolan wystarczająco dużo nocy przespała w niewygodnych łóżkach, miała więc odrobinę współczucia - nawet dla Sama. Z ociąganiem zeszła na dół do pokoju kredensowego.

Było tu ciemno, ale w świetle księżyca, sączącego się przez wąskie, wysokie okno, widziała Sama leżącego na kanapce, z nogami zwisającymi przez poręcz.

- Przyszłaś sprawdzić, czy jest mi wygodnie? - zakpił.

- Przyszłam ci powiedzieć, że możesz się przenieść do „pokoju Colemana” - wycedziła. - Goście odwołali przyjazd.

Zauważyła, jak z wolna zaczyna się uśmiechać. Przypominał jej kota z Cheshire. Przeciągnął się i wstał. Miał na sobie tylko slipki.

Josie pospiesznie wróciła do swego pokoju.

Niestety, było za późno. Widok Sama w slipach miała wciąż przed oczami. W dodatku „pokój Colemana” miał z jej sypialnią wspólną ścianę.

Położyła się do łóżka i naciągnęła kołdrę pod brodę. Zdecydowanym ruchem odwróciła się od ściany. Od wspomnień. Od Sama.

Nie pomagało. Wiedziała, że on tam był. Tak samo jak ostatnim razem...

Dziewiątego września wypadały jej urodziny. Pragnęła, by były to najwspanialsze urodziny, jakie kiedykolwiek obchodziła w życiu.

Gdy zamieszkała z Hattie i Walterem, razem je obchodzili. Kiedyś, gdy właśnie kończyła piętnaście lat, przypadkowo pojawił się na jej przyjęciu Sam. Dał jej wówczas prezent.

Oczywiście wiedziała, że nie kupił go specjalnie dla niej. Wracał z podróży na Daleki Wschód i po prostu wstąpił zobaczyć się z Hattie i Walterem. Wtedy zobaczyła go po raz pierwszy. W porównaniu z chłopcami, których znała ze szkoły, Sam objawił jej się jak mityczny bóg. Wysoki, smukły, przystojny, wysportowany... Serce Josie zabiło na jego widok. Zakochała się od pierwszego wejrzenia.

Spodziewała się, że taki elegancki mężczyzna jak Sam uzna skrobanie łodzi Waltera za niegodne zajęcie. Ale on po prostu zdjął koszulę i przekomarzając się z Walterem - a czasem nawet z nią - zabrał się do roboty.

Wymieniali wrażenia z licznych podróży, jak to Walter nazywał „snuli morskie opowieści”. Josie słuchała z zapartym tchem. Zwłaszcza chciwie łowiła każde słowo Sama. Był wszędzie, wszystko widział, cieszył się życiem. Josie była zauroczona. Przez cały czas kręciła się wokół niego jak satelita.

Musiał to zauważyć, ponieważ w dniu jej urodzin, gdy otwierała prezenty od Hattie i Waltera, podarował jej małe, kwadratowe pudełeczko.

- Kupiłem to w podróży - powiedział niemal przeproszającym tonem.  
- Nic wielkiego...

Dla Josie to było ogromnie dużo. Oczarowała ją subtelna uroda małego konika z jadeitu. Ostrożnie pogładziła go palcem, a potem uśmiechała się do siebie, spoglądając, jak stoi na jej dłoni.

- Dziękuję - powiedziała ze łzami szczęścia w oczach. - To będzie mój skarb.

- To naprawdę nic wielkiego - powtórzył zażenowany. Ale nie dla Josie.

Maleński zielony konik ciągle stał na jej toalecie. I nadal wspominała te urodziny jako najbardziej radosne w swym życiu.

Gdy dorosła, zrozumiała, że historia o Kopciuszku zdarza się tylko w bajkach.

Toteż poczuła zadowolenie, gdy pojawił się Kurt. Nie miał w sobie takiego wdzięku jak Sam, ale przecież był całkiem przystojny. Szkoda tylko, że tak często bywał zajęty i bardzo rzadko okazywał jej czułość... Ale jej potrzebował. To już było coś.

Poznała Kurta w czasie kiermaszu organizowanego przez kościół na cele dobroczynne. Przywiozła wtedy maślane ciasteczka własnego wypieku. Porwał jedno z talerza, pochwalił i zapytał, czy nie upiekłaby trochę dla niego. Od tamtej pory upiekła mu całe mnóstwo kruchych ciasteczek, uczestniczyła w wielu kościelnych imprezach i przepisała mu na maszynie stos papierów. Przygotowywał się do pracy dyplomowej z teologii i musiał, jak twierdził, „zajmować się swoją owczarnią”.

Josie to rozumiała. Pochlebiało jej, że cenił ją tak bardzo, że chciał spędzać z nią wolny czas. Ale naprawdę pragnęła tylko jednego mężczyzny - Sama Fletchera.

Wiadomość, że Sam się zaręczył, podziałała na nią jak grom z jasnego nieba. Poczowała nawet zaskoczenie. Czyżby kiedykolwiek poważnie myślała, że on może się nią zainteresować? Oczywiście, że nie, a więc...

A jednak, gdzieś w najgłębszym zakamarku duszy, póki się nie zaręczył, żyła nadzieją.

W dniu, w którym Sam zaręczył się z Isobel Rule, marzenia Josie zamieniły się w popiół. Nadzieja wypaliła się do cna. Skupiła całą uwagę na Kurcie.

A mimo to, gdy Kurt w maju jej się oświadczył, była oszołomiona.

- Chcesz, byśmy się pobrali? - spytała niepewnym głosem.

Kurt uśmiechnął się i przytaknął. Potem pochylił się i ustami musnął jej wargi.

- Oczywiście - powiedział. - Dlaczego nie? Stanowimy dobrą parę.

Być może naprawdę tworzyli dobrą parę. Kurt troszczył się o cały świat, a Josie troszczyła się o Kurta.

- Kochasz mnie? - spytała.

- Oczywiście, że cię kocham.

Wiedziała, co miał na myśli. Kurt kochał wszystkich.

Później w samotności powtarzała sobie ich imiona. Kurt i Josie. Josie i Kurt... To jej się nawet podobało. Przynajmniej do kogoś należała. Nawet jeśli nie brzmiało to tak dźwięcznie jak Sam i Josie...

Kochała Kurta w taki sam sposób, jak on kochał ją. Odpowiedziała twierdząco. Planowali ślub w przyszłym roku, gdy Kurt zrobi dyplom i znajdzie własną parafię. Josie nie przeszkadzało oczekiwanie. Byli parą.

W czerwcu, na urodziny Kurta zarezerwowała stół w romantycznej restauracji nad brzegiem rzeki. Długo wybierała dla niego prezent.

Wreszcie kupiła dzieła zebrane teologa, którego szczególnie podziwiał, oraz płyty z muzyką jego ulubionego zespołu jazzowego. Zrobiła mu



również sweter na drutach, którego niebieski odcień podkreślał głębię jego oczu oraz upiekła ulubione maślane ciasteczka.

Był zachwycony. Pocałował ją i powiedział, że to wiele dla niego znaczy - że ona tak wiele dla niego znaczy. Następnie przeprosił ją, ponieważ nie mógł pójść z nią na kolację. Miał ważne spotkanie w kościele.

Josie zrozumiała. Zdołała przywołać uśmiech i odwołać rezerwację.

- Będą jeszcze inne okazje - zapewniła go. I siebie.

- Oczywiście - obiecał. - Pójdziemy na kolację w twoje urodziny.

Uczepiła się tej myśli. Gdy we wrześniu zbliżał się termin jej urodzin, znów zarezerwowała stolik.

Może powinna pozostawić to Kurtowi...? Gdyby sam dokonał rezerwacji, może by pamiętał?

Przypomniała mu. Poprzedniego wieczora, gdy wychodził, zabierając papiery, które dla niego przepisała, powiedziała:

- Nie zapomnij o jutrzejszej kolacji. O wpół do siódmej.

- Kolacja... - powtórzył nieprzytomnie, jakby zaprzątnięty czym innym, po czym złożył na jej czole krótki pocałunek.

Patrzyła, jak odchodził z nisko pochyloną głową, przeglądając papiery.

- Co jutro dla niego ugotujesz?

Na dźwięk głosu Sama podskoczyła. Przyjechał dwa tygodnie temu - milczący i ponury. Wszędzie szukał zajęcia.

Josie czekała na jakieś wyjaśnienia, ale Sam milczał uparcie. Całymi dniami piłował drzewo, trzaskał deskami albo walił młotkiem.

Wyjaśnienia udzieliła Hattie.

- Narzeczona zerwała z nim zaręczyny - oświadczyła. Josie postarała się zapanować nad wybuchem radości.

I rozpaczliwie starała się ignorować obecność Sama. Nie chciała go dłużej kochać. On jej nawet nie zauważał. To było głupie z jej strony, że nadal o nim myślała. Poza tym był przecież Kurt...

- Nic - odparła swobodnie, ignorując sarkazm w głosie Sama. - Wychodzimy na kolację.

- Czy on o tym wie? Pewnie to ty wybrałaś restaurację i zarezerwowałaś stół.

- Kurt jest bardzo zajęty... - wykrztusiła przez zęby.

- Wszystkim innym poza tobą.

- Ma dla mnie czas - upierała się. - Cały jutrzejszy wieczór.

- O ile nie zapomni - parsknął Sam.

Wiedziała, że Sam parokrotnie w ciągu ostatnich dwóch tygodni był świadkiem duchowej nieobecności Kurta i nie omieszkał tego komentować. Nigdy nie powiedział ani jednego dobrego słowa o zasługach Kurta dla parafian.

Josie wiedziała, że jej narzeczony nie jest doskonały. Ale narzeczona Sama też nie okazała się doskonałą. W końcu to ona go porzuciła!

Kurt nie zapomni, powtarzała sobie przez resztę tamtego popołudnia. Wiedział przecież, ile ta uroczystość dla niej znaczy.

Wieczorem zrobiła kolację, ale sama odmówiła jedzenia. Po prostu poszła na górę, żeby przygotować się do wyjścia. Potem usiadła w saloniku i czekała, rozmawiając i uśmiechając się do gości. Minęło wpół do siódmej, potem siódma. Uśmiech Josie stawał się coraz bardziej wymuszony, a odpowiedzi na pytania lakoniczne.

Zauważyła Sama, wychodzącego z piwnicy z butelką whisky. Wzniósł w jej kierunku toast. Josie odwróciła wzrok.

Kwadrans po siódmej przeprosiła gości i nieco zaniepokojona wyszła na ganek. Wpatrywała się w drogę. Podeszła nawet na krawędź urwiska, usiłując wypatrzeć samochód Kurta w zapadających ciemnościach.

Dopiero około dziewiętej zrezygnowała. Z opuszczoną głową wróciła do domu i poszukała samotności we własnym pokoju. Cierpiała, czuła wewnętrzny ból. Wreszcie zaczęła płakać.

Josie rzadko płakała. Zazwyczaj trzymała fason, udawała twardą dziewczynę. Ale dziś wieczór szlochała. Zdjęła różową sukienkę, którą specjalnie kupiła na tę okazję i poszła do łazienki umyć twarz; gdy rozplotła warkocz, gęste, ciemne włosy spłynęły na jej ramiona. Przez cały czas mrugała powiekami i przełykała ślinę, powstrzymując łzy.

Gdy jednak zgasiła światło i wsunęła się pod kołdrę, łzy popłynęły z oczu wartkim strumieniem. Płakała. Płakała z powodu straconej kolacji, samotnych urodzin i własnej bezgranicznej naiwności. Zrobiła z siebie głupią gęś! Zawsze była małą dziewczynką zaglądającą z zewnątrz do środka. Płakała, ponieważ była młodą kobietą, którą się nikt nie interesował.

Nie wiedziała, jak długo płakała, gdy w końcu usłyszała ciche pukanie do drzwi. Przełknęła łzy, próbując uciszyć łkanie. Do licha, nikogo nie chciała teraz widzieć. Któż mógł ją usłyszeć?

W pokoju obok mieszkał Sam, ale jego na pewno nie było w domu w sobotni wieczór. Pewnie byli to jacyś goście, którzy potrzebowali dodatkowej poduszki...

Josie otarła łzy, włożyła szlafrok i z uśmiechem wzorowej gospodyni otworzyła drzwi.

To był Sam. Przyglądał jej się z zakłopotaniem.

- Dobrze się czujesz? - Mówił cichym, miękkim głosem, a na jego twarzy nie było nawet cienia głupkowatego uśmiechu, którego się obawiała. Miał zmierzwione włosy, jakby wielokrotnie przeczesywał je palcami, a rozpięta koszula wysuwała mu się ze spłóciałych dzinsów.

- Oczywiście, że dobrze się czuję - odpowiedziała Josie, mrugając oczami.

- Słyszałem, jak płakałaś...

Chciała zaprzeczyć. Sam Fletcher nie mógł poznać jej słabości! Ale już się stało. Zażenowana, wzruszyła obojętnie ramionami.

- To nic wielkiego.

- Nie przyszedł? - W jego głosie nie słyhać było krytyki ani sarkazmu. Brzmiał smutno.

- Na pewno miał ważny powód. - Znow wzruszyła ramionami.

Sam zawahał się na chwilę.

- Jestem pewien, że tak - powiedział cicho.

- Czego sobie życzysz, Sam?

Gdy uniósł rękę, zauważyła, że trzyma w niej butelkę whisky.

- Mówią, że na frasunek dobry trunek - powiedział żartobliwie. -  
Napij się ze mną.

- Napić się z tobą? - Zmarszczyła brwi.

- To twoje urodziny, prawda? Oblejmy je! Przyjrzała mu się dokładnie.

- Jesteś pijany, Sam - stwierdziła.

- Jeszcze nie. - Znów potrząsnął butelką. - Ale do tego zmierzam.

- Dlaczego?

- Daj spokój, Josie. Zamierzasz tu siedzieć i użalać się nad sobą przez całą noc? Nie jesteś zresztą jedyną osobą, która przeżyła zawód...

Dopiero wtedy zrozumiała. Zajęta własnymi sprawami całkiem zapomniała, że dzisiejszego dnia Isobel Rule poślubiła innego mężczyznę.

Poczuła współczucie do stojącego naprzeciw niej mężczyzny.

Przystojny, silny, mądry Sam... Sam - mężczyzna, którego kochała od lat. Jak Isobel mogła go porzucić?!

- Och, Sam... - Bezradnie potrząsnęła głową. Skrzywił się, biorąc jej słowa za odmowę.

- Nie jest dobrze pić w samotności. Mogłabyś mi towarzyszyć. ... -

Uniósł kącik ust. - To najlepsza whisky Waltera - wyznał, pokazując butelkę. - Mój czcigodny pradziadek wznosił nią toasty na własnym ślubie. Pozostało już tylko pięć butelek.

Josie ze zdziwienia szeroko otworzyła oczy; butelki te traktowane były jak relikwie.

- Hattie nie ma nic przeciw temu - ciągnął. - Mnie też wydaje się to odpowiednia okazja. Trzeba wypić za szczęście panny młodej, czyż nie?

- Och, Sam - powtórzyła Josie, pod wpływem współczucia tracąc zdrowy rozsądek. Zamknęła za sobą drzwi i stanęła na progu jego sypialni.

W swych marzeniach już nieraz była w tym pokoju; nieraz uśmiechała się do niego, wznosiła toasty, dotykała go... Ale tym razem wszystko działo się naprawdę.

Sam pchnięciem otworzył przed nią drzwi, a potem odsunął się i przepuścił ją przodem. Na moment zawahała się. Ale tylko na moment.

Nie chciała tej nocy spędzić samotnie. Podobnie jak Sam. Obydwoje doznali zawodu. Mogli się nawzajem pocieszyć, wypić razem wyśmienitą whisky Waltera. Cóż stało na przeszkodzie?

Sam wszedł za nią do pokoju i zamknął drzwi.

„Kwatera kapitana” była małym pokojem, ale teraz wydawała się mniejsza niż kiedykolwiek; na kominku palił się ogień, a mosiężne łoże z baldachimem nagle zdawało się zajmować całą przestrzeń.

Sam rozlał whisky do szklanek. Josie zauważyła, że butelka była prawie pusta. To dobrze, pomyślała. Nie zdąży się upić.

- Usiądź.

Rozejrzała się wokół; bujany fotel zarzucony był książkami i papierami. Nigdzie nie było miejsca - z wyjątkiem łóżka. Sam czekał, aż usiadzie. Gdyby zaczęła zdejmować rzeczy z fotela, pewnie by pomyślał, że oszalała. Z pewnością nie miał w stosunku do niej żadnych zdróżnych zamiarów. Wreszcie z głębokim westchnieniem przycupnęła na łóżku. Gdy miękki materac ugiął się pod nią, pomyślała, że zachowuje się jak idiotka, wsunęła się głębiej, oparła głowę o poduszki i wyciągnęła rękę po szklankę. Ich palce musnęły się w przelocie.

Och, Josie, ty głupia marzycielko!

Sam odstawił butelkę na nocny stolik i uniósł swoją szklankę do ust.

- Za ich zdrowie! - powiedział.

Josie domyśliła się, kogo miał na myśli. Kurta i Isobel. Przechyliła szklankę, palący trunek rozgrzał jej wargi i język. Oczy nieruchomo utkwione w Sama zwilgotniały. Przełknęła ślinę.

Sam oblizął językiem usta i nie odrywając od niej wzroku, wzniosł kolejny toast:

- Za nas!

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Ścisnęła ją w gardle. Drżała. Sam pociągnął kolejny duży łyk alkoholu. Zrobiła to samo. Za nas! Czowała, jak ten łyk whisky dociera aż do czubków jej palców. Zaciśnęła palce na szklance.

Sam pochylił się nad nią.

- Posuń się - powiedział.

Josie spojrzała nań bezradnie, a potem zrobiła, o co prosił. Usiadł i oparł się o poduszki, mocno dotykając ją ramieniem. Przez cienki materiał szlafroka czowała bijące od niego ciepło. Próbowwała się odsunąć, ale Sam chwycił ją nagle za kolano.

- Nie rób tego - poprosił. - Zostań.

Odwróciła głowę. Oczy Sama znajdowały się w odległości zaledwie kilku centymetrów od jej twarzy. Był tak blisko, że w świetle kominka widziała każdy pojedynczy włos jego zarostu, lekko ukruszony przedni ząb, który, jak jej kiedyś powiedział, był wynikiem upadku w dzieciństwie, oraz maleńką bliznę po wietrznej ospie w okolicy ust, która podczas uśmiechu zamieniała się w dołeczek. Nagle zapragnęła dotknąć jej palcem...

To było bardzo niebezpieczne. Szybkim, desperackim ruchem pociągnęła kolejny łyk whisky. Poczucie niebezpieczeństwa pierzchnęło.

To był tylko Sam. Nic się między nimi nie mogło zdarzyć. Znali się od dziesięciu lat i nic nigdy się nie zdarzyło...

Właśnie wtedy ją pocałował. Dotyk jego ust był miękki i ciepły. Bardziej miękki od whisky, cieplejszy, subtelniejszy. Wcale jej nie palił. Płomień ognia równomiernie i powoli ogarniał całe jej ciało.

Sam ją całował! To istne szaleństwo, powtarzała sobie. To głupota!  
Zamrugła rzęsami i przymknęła powieki, potem rozchyliła usta.  
Gdy przestał ją całować, przesunął wargami wzdłuż jej policzka i szyi.  
Było cudownie. Zaczynała mrużyć z zadowolenia jak kot pijący  
śmietankę. Pożądanie, które narastało w niej od niepamiętnych czasów,  
doczekało się wreszcie spełnienia.

To był Sam, powtarzała w ekstazie. Sam!

I zanim umysł zdołał ją ostrzec, ciało jej powiedziało „tak”. A serce  
zdawało się szeptać jedno tylko słowo: nareszcie!

- Nie powinniśmy... - powiedziały jej usta.

- Wiem, wiem - wymamrotał, nadal obsypując ją subtelnymi,  
miękkimi pocałunkami, z których każdy następny był lepszy od  
poprzedniego.

Dobrze czuła się w jego ramionach. Przytulnie i bezpiecznie. ..

Bezpiecznie?

Czyżby jedna szklanka whisky mogła tak bardzo zmącić jej umysł?

- Sam, nie możemy... - powtórzyła słabym głosem.

- Cii... — wyszeptał prosto w jej usta. - Nie zrobimy tego, nie  
zrobimy...

Odsunął się wystarczająco daleko, by nalać whisky do szklanek.

Potem znów przyciągnął ją do siebie i oparł policzek o czubek jej głowy.

- Nie zrobimy - powtórzył cichym, urywanym głosem i upił łyk. - On  
jest głupi - dodał, ujmując jej dłoń.

- Ona też - wyszeptała Josie, ściskając mu palce.

- Ona by tego o sobie nie powiedziała. - Uśmiechał się pod nosem.



Chciała, by na nią spojrział. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy. Znów się odwrócił. Był tak blisko, że rzesami muskała jego policzek. Pocałowała go.

- Przykro mi - powiedziała.

Czy naprawdę było jej przykro z powodu bólu, jaki zadała mu Isobel? Może trochę... W każdym razie go pocałowała. I pozwoliła, by ją całował. Znów.

Spełniło się jej odwieczne marzenie - marzenie, że Sam w końcu ją zauważy, dostrzeże w niej kobietę... i jej zapragnie.

Pocałunki zmieniły charakter. Nie były już pocieszające ani współczujące. Zastanawiała się, kiedy przestały mówić: „Przykro mi, że Kurt cię nie zechciał”, a zaczęły: „Ja. ciebie chcę...”

Usta Sama wyrażały namietność, naleganie, najpierw łagodną, a potem bardzo gwałtowną perswazję. Pocałunki wyrażały po kolei nadzieję, prośbę, wreszcie - żądanie.

Josie zrozumiała to żądanie. Sama też je odczuwała. Nie wiedziała kiedy, ale całkiem zapomniała o Kurcie, o swoich urodzinach, o samotności i marzeniach. Wszystko to zniknęło, ustępując miejsca trwającej chwili.

Gdy dłonie Sama zaczęły błdzić po jej ciele - głdzić je, dotykać, uczyć się jego kształtów - poddała się zmysłom.

Nie udawała, że to Kurt ją dotyka i pieści. Alkohol być może zmniejszył jej opór, ale nie zmacił umysłu. Wiedziała, czyje palce ślizgają się po jej szlafroku, czyje ciało porusza się obok niej i twardnieje, czyj oddech owiewa jej policzki.

Nie wiedziała tylko, co czuje Sam. Albo - co udaje, że czuje.

Wystarczało jej, że trzymała go w ramionach. Upajała się zmysłowym dotykiem jego twardych palców na swoim ramieniu. Zadrżała, gdy zsunęły się na jej piersi, rozchyliły poły szlafroka, a potem rozwiązały pasek.

Przyszła chwila, gdy Josie to nie wystarczyło. Zapragnęła również go dotykać. Odstawiła szklankę i czułym ruchem pogładziła go po ramieniu, potem po miękkiej koszuli, wreszcie wsunęła pod nią dłoń.

Klatka piersiowa Sama był ciepła, jedwabista, twarda i porośnięta jasnymi włosami. Wyrażała siłę, tak samo jak jego ramiona. Josie pomyślała, że choć pracował umysłowo, miał ciało człowieka nawykłego do fizycznej pracy. Co porabiał, gdy nie latał samolotami po świecie?

Nie wiedziała. A bardzo chciała wiedzieć. Chciała wiedzieć o nim wszystko. Co myślał, jakie miał plany i marzenia, co czuł, gdy go dotykała...

Gdy zdjął z niej szlafrok, a potem podwinął koszulę, zrozumiała, że jeśli chce go powstrzymać - musi to zrobić natychmiast. Nie zrobiła tego. Nie było na to czasu...

Nigdy nie kochała się z Kurtem ani z żadnym innym mężczyzną. Powinna być przestraszona, powinna być ostrożna i niezdarna. Nie była.

Nie myślała o przyszłości. To, co robiła teraz z Samem, wydawało się jedyną słuszną rzeczą na świecie. Ponieważ to był Sam - i ponieważ jej serce wiedziało, że kocha go od dawna, od lat...

Jakże była głupia! Sam jej przecież nie kochał... Dowiedziała się o tym wystarczająco szybko. Przez całą tamtą noc okłamywała się, że jest inaczej. Została w jego pokoju, trzymała go w ramionach, gdy spał. I powtarzała sobie, że wszystko się dobrze skończy.

Rano powie Kurtowi, że zrywa zaręczyny. Nie była odpowiednią dla niego dziewczyną. To pewne. Zgodziła się na ten ślub, ponieważ dowiedziała się, że Sam zamierza poślubić Isobel. Może nawet przekonała samą siebie, że kocha Kurta? A może była to miłość? Tylko inna miłość niż ta, którą czuła do Sama...

Tej nocy nie miała siły mu się przeciwstawić. Gdy do niej przyszedł, nie mogła mu odmówić.

Dziś za wszystko płaciła.

Poślubić Sama?

Kiedyś myślała, - że byłby to najszczęśliwszy dzień w jej życiu. Teraz zdała sobie sprawę, że małżeństwo z mężczyzną, który jej nie kochał, byłoby najgorszą torturą. I dlatego powiedziała: nie.

- Nie - powtórzyła szeptem.

W nocnej ciszy słowo zabrzmiało słabo i łagodnie. Próbowała się do tego słowa przekonać.

Sam na pewno będzie z czasem zadowolony, powtarzała sobie. Nie kochał jej. Wydarzenia tamtej nocy były wynikiem nadużycia whisky - whisky, smutku i poczucia samotności, które chciał zdusić.

- Nie - powtórzyła silniejszym głosem.

Powinna użyć tego słowa siedem miesięcy temu. Ale jednocześnie czuła dziwne, przewrotne zadowolenie, że tego nie zrobiła. Przycisnęła dłoń do swego wypukłego, ciągle powiększającego się brzucha, gdzie pod sercem nosiła dziecko Sama.

Tylko dziecku mogła z absolutną pewnością siebie powiedzieć: tak.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

---

Josie, przygotowując kolejne śniadanie dla gości, potknęła się o Humphreya Bogarta i rozrzuciła francuskie ciasteczka po całej kuchni.

To była kropla, która przelała miarę.

Nie zmrużyła oka prawie przez całą noc, przewracając się z boku na bok. Przez cieką ścianę słyszała, że Sam również rzuca się i wierci na łóżku. O czym rozmyślał?

Właściwie nie chciała wiedzieć. Wystarczyło, że własne myśli nie dawały jej spokoju. Dziecko chyba wyczuło jej zdenerwowanie, ponieważ także było niespokojne. Josie miała wrażenie, jakby przed chwilą zamknęła oczy, gdy o wpół do ósmej zadzwonił budzik.

Wstała na chwiejnych nogach i ubrała się, unikając patrzenia na swe odbicie w lustrze. Potem zwlokła się na dół, by przygotować gościom śniadanie.

Czwórka pensjonariuszy wybierała się na całodzienną wycieczkę rowerową historycznym szlakiem od Dubuque do Dyersville. Poprosili o wcześniejsze śniadanie, by mogli wyruszyć przed ósmą.

Josie ledwie trzymała się na nogach. Przygotowując sałatkę, skaleczyła się w palec i zakrwawiła owoce. Musiała wszystko wyrzucić. Potem spaliła kiełbaski na patelni. Przez pomyłkę podała Errolowi Flynnowi dietetyczne pożywienie Wallace'a Beery'ego i dopiero po półgodzinie, potykając się o miauczącego kota, zdała sobie z tego sprawę.

Czwórka gości pojawiła się więc przy stole, zanim śniadanie było gotowe. Potem zjawili się następni.

Na szczęście ostatnia trójka się spóźniła i Josie miała szansę przynajmniej ich obsłużyć punktualnie, gdy właśnie Humphrey Bogart wszedł jej w drogę i wraz z francuskimi ciasteczkami runęła na podłogę.

- Do diabła! - zaklęła pod nosem.

Ale nim zdążyła porządnie jęknąć, czyjeś mocne ramiona uniosły ją do góry.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Sam.

Zaskoczona zarówno jego obecnością, jak własnym upadkiem, Josie gwałtownie cofnęła się do tyłu.

- Doskonale! - rzuciła. - Po prostu potknęłam się o psa.

- Starła się wyrwać z jego ramion, ale nie chciał jej puścić.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście! - Nie był to groźny upadek, zwłaszcza że nie wylądowała na brzuchu. - Proszę, puść mnie. Muszę podać śniadanie. - Muszę się od ciebie odsunąć, pomyślała. Po raz pierwszy od pamiętnej, miłosnej nocy dotykał ją. Niepotrzebnie wracały wspomnienia...

- Musisz usiąść - powiedział stanowczo. Wziął ją za ramiona, popchnął lekko w stronę pokoju kredensowego i tam umieścił na kozetce.

- Nie mogę - zaprotestowała, wstając. - Muszę...

- Musisz robić to, co ci mówię.

- Dlaczego?!

Uśmiechnął się pod nosem.

- Zwolnię cię z pracy, jeśli tego nie zrobisz.

- Wierzę, że potrafisz arogancko obnosić swą władzę!

- Wykrzywiła twarz ze złości.

- Jeśli walcząc, czujesz się lepiej, bardzo proszę, walcz.

- Posadził ją na kozetce. - Ale walcz na siedząco.

Próbowała się poderwać, ale kozetka była głęboka, a wystający brzuch ciążył do dołu.

- Goście muszą dostać śniadanie!

- Goście dostaną śniadanie, jeśli tylko nie będę musiał stać nad tobą - oświadczył.

Otworzyła usta, chcąc się sprzeciwić, ale Sam wyraźnie rozzłoszczony, groźnie zmarszczył brwi.

- Josie, dajmy już spokój - powiedział.

- Doskonale - odparła zniecierpliwiona. - Obsługuj gości i sprzątaj, jeśli chcesz. - Skrzyżowała ramiona na piersi. - Dla mnie możesz nawet stanąć na rękach i gwizdać Dixie.

Uśmiechnął się szeroko.

Na widok uśmiechu Sama Fletchera jej serce przestawało bić. Szybko odwróciła głowę i sięgnęła po leżące na stoliku czasopismo, by udawać obojętność.

- Tak już lepiej. - Sam skinął głową z satysfakcją, a potem, nadal się uśmiechając, odwrócił się i skierował do kuchni, gwizdząc Dixie.

Josie prawie przez godzinę z chmurną miną siedziała na kozetce w pokoju kredensowym, wsłuchując się w dochodzące zza ściany odgłosy. Chciałaby wiedzieć, o czym Sam rozmawiał z gośćmi, ale nie mogła dosłyszeć.

Usiłowała wstać i podejść do drzwi, ale nogi dziś miała jak z waty. Czyżby upadek był poważniejszy, niż to sobie wyobrażała? Dziecko kręciło się niespokojnie w jej brzuchu.

- Nic ci nie jest, kochanie, prawda? - spytała z niepokojem Josie. Zdenerwowana siedziała teraz nieruchomo, czekając, czy nie nastąpi skurcz. Lekarz wyjaśnił jej, że kilka nieregularnych skurczów dziennie to nic groźnego. - Jest jeszcze za wcześnie - powiedziała do swego nie narodzonego dziecka. - O wiele za wcześnie.

Zostały jeszcze dwa miesiące. Josie delikatnie przyciskała rękę do brzucha, jakby w ten sposób mogła powstrzymać skurcze. Poczowała znów, że dziecko się porusza, ale na tym koniec. Odetchnęła z ulgą.

Sam stukał talerzami w zlewie. Potem dał się słyszeć dźwięk sztućców. Śniadanie chyba dobiegło końca. Trzasnęły drzwi szafki. Potem rozległ się syk i głośne miauknięcie. Sam zaklął.

Raptem otworzyły się drzwi do pokoju kredensowego. Pojawił się w nich Sam z Errolem Flynnem.

- Proszę cię, weź go - powiedział do Josie, umieszczając protestującego kota w jej ramionach. - Zaraz przyniosę pozostałą dwójkę. I psa. Nie wiem, jak ci się udaje tu przeżyć. Te przekłete zwierzęta przez cały czas kręcą się pod nogami.

- Jestem do nich przyzwyczajona. - Josie otoczyła Errola opiekuńczym ramieniem.

- Ale ja nie! - W drzwiach zatrzymał się. - Jak się czujesz?

Nagła troska w jego głosie głęboko ją poruszyła. Rozpaczliwie starała się nad sobą zapanować.

- Doskonale. Już ci mówiłam.

- Przyniosę herbatę...

- Nie trzeba.

Najwyraźniej nie obchodziło go, czego ona nie potrzebuje. Wyszedł, by po chwili powrócić z Wallace'em Beerym i Clarkiem Gable'em na rękach. Humphrey Bogart szedł za nim.

Josie zmarszczyła brwi, gdy Sam postawił na ziemi miseczkę mleka. Koty wyglądały na zadowolone; mrucząc, skupiły się wokół miski. Humphrey popatrzył na Sama, machając ogonem. Sam dał mu kolejny biskwit.

- Przekupujesz je - powiedziała Josie z naganą w głosie. - One nie powinny pić mleka.

Sam posłał jej zabójczy uśmiech.

- Nazywaj to jak chcesz - powiedział, puścił do niej oko, a potem zamknął za sobą drzwi, pozostawiając jej całą menażerię.

Po chwili drzwi znów się otworzyły i pojawił się Sam z filiżanką herbaty.

- Dziękuję - powiedziała niepewnie. Wołała zachować ostrożność. Ale bardzo chciało jej się pić. Upiła łyk.

- Wszystko w porządku?

Skinęła głową, nie ufając swemu głosowi.

- W takim razie pójdę już. - Uśmiechnął się krzywym uśmiechem, uniósł lekko dłonie, otworzył je, po czym znowu zacisnął w pięści. Wreszcie odwrócił się i wyszedł.

Josie obserwowała, jak odchodzi, i czuła, że łyzy palą ją pod powiekami. W gardle dławiała płacz.

- W porządku? - spytała siebie tak jak on przed chwilą. Nie, nie było w porządku. Nic nie było w porządku.



- Każda młoda kobieta powinna mieć takiego męża - powiedziała nieco później tego ranka pani Jensen, podając Josie kartę kredytową.

- Słucham? - Josie niemal przecięła brzegiem karty swe palce.

- Jakiż troskliwy młody człowiek - udzieliła odpowiedzi pani Jensen.

- Powiedział nam, że podaje śniadanie, aby pani mogła odpocząć.

- Tak, tak... - mruknęła Josie pod nosem.

- Masz szczęście, kochanie - ciągnęła pani Jensen. - Nie każdy mężczyzna jest taki jak twój.

- To prawda - przyznała Josie bez wahania. Podała kobiecie rachunek i kartę kredytową.

Pani Jensen poklepała ją protekcjonalnie po dłoni.

- To bardzo troskliwie z jego strony, że dał twoje pierścionki do powiększenia...

- Moje pierścionki? - Josie aż podskoczyła z wyrazem przestachu w oczach.

- O Boże! Może nie powinnam tego powiedzieć. Czyżby to miała być niespodzianka?

- Pierścionki? - Josie bezradnie potrząsała głową. - Jakie pierścionki?

- Zauważyłam, że nie nosisz obrączki - wyznała pani Jensen. - Zapytałam więc, czy masz może takie same kłopoty jak ja, gdy byłam w ciąży. Stopy i palce spuchły mi jak serdelki. Pomyślałam, że masz ten sam problem...

Josie poczuła na twarzy gorący rumieniec zażenowania. Na próżno usiłowała wyzwolić dłoń z uścisku pani Jensen.

- A Sam... tak się nazywa, nieprawdaż? - ciągnęła bezlitośnie kobieta. - Sam powiedział wówczas, że gdy stałaś się pulchna, zaniósł pierścionki do powiększenia.

- Pulchna...? - wybełkotała Josie.

- To i tak brzmi o wiele bardziej uprzejmie od tego, co mówił Tom...

- Rzuciła stojącemu obok mężczyźnie czułe spojrzenie. - Tom po prostu mówił, że jestem gruba. - Uśmiechnęła się promiennie do Josie. - Ale nie martw się, moja droga, zeszczuplejesz od razu, gdy pojawi się dziecko. Gdy przyjedziemy w czerwcu, poznamy waszego potomka.

- Tak... - Josie jęknęła w duchu. Zwykle pamiętała o planach swoich stałych gości, tym razem jednak całkiem jej umknęło, że Jensenowie zarezerwowali pokój na lato.

- To będzie nasze rodzinne spotkanie - kontynuowała pani Jensen. - Przyjadą nasze trzy córki z rodzinami. Lizzie urodziła dziecko na Boże Narodzenie... Będziecie mogli wymienić wrażenia. Kiedy Ashley się rodził, Mark zemdlał. Och, jestem pewna, że twój Sam nie zemdleje!

Josie nie potrafiła nic odpowiedzieć. Uśmiechnęła się tylko radosnym uśmiechem gospodyni pensjonatu i modliła się w duchu, by Jensenowie wreszcie odjechali.

- Dlaczego powiedziałeś gościom, że jesteś moim mężem?

Sam, który stał na ganku, żegnając ostatnią grupę gości, słysząc wściekłość w jej głosie, cofnął się o krok.

- Wcale tego nie powiedziałem.

- Czyżby? Nic nie powiedziałeś na temat powiększania pierścionków?

- Och, pani Jensen wyglądała na osobę, która nie pochwalałaby, że mieszkamy razem bez ślubu - odparł nonszalancko.

- Nie mieszkamy razem!

- Teraz mieszkamy.

- Wiesz, co mam na myśli! I bardzo proszę, byś nie wprowadzał gości w błąd, zwłaszcza tych, którzy przyjadą tu w czerwcu i spodziewają się, że zastaną powiększoną, szczęśliwą rodzinę.

- Mam nadzieję, że tak właśnie będzie. - Sam wzruszył ramionami.

- Co takiego?

- Dokładnie to, co słyszałaś.

- Powiedziałaś przecież „nie”! - Josie bezwiednie zadrżała.

- To było wczoraj.

- Nic się od wczoraj nie zmieniło.

- Jeszcze nie.

Do diabła! Jak śmiał być tak pewny siebie, tak zarozumiały... I tak przystojny.

- Nie zmienię zdania.

- Sprawię, że zmienisz - odparł z uśmiechem.

- Nic nie zrobisz. Będziesz w Nowym Jorku.

- Zostaję tutaj.

- Nie możesz! Masz swoją pracę, swoje interesy! Na litość boską, ludzie od ciebie zależą.

Patrzył jej prosto w oczy.

- Ale mnie zależy tylko na jednej osobie. - Ich oczy się spotkały.

Spuścił wzrok na jej brzuch. - Na razie na jednej - dodał.

- Nie bądź śmieszny, Sam!

- Jestem śmiertelnie poważny.
- Nie możesz tu zostać.
- Zostaję, Josie - powtórzył. - I radzę ci oswoić się z tą myślą.

Oczywiście, nie mówił poważnie. To niemożliwe... Nie mógł zarządzać olbrzymią korporacją, mającą siedzibę w Nowym Jorku, z pensjonatu położonego na urwisku w stanie Iowa!

Josie oddychała spokojniej. Ale tylko do popołudnia, gdy podłączono dodatkowy telefon i faks.

- Gdzie to montujemy? - spytał pracownik ekipy technicznej, trzymając w ręku ogromne pudło.

Wpatrywała się w niego zakłopotana, ale zaraz usłyszała za sobą kroki Sama.

- Proszę wnieść to tutaj. Urządzam sobie biuro w „pokoju Colemana”  
- wyjaśnił Josie.

- Nie możesz - zaprotestowała. - Pokój został wynajęty!

- Trudno. Daj gościom inny pokój albo od razu skieruj ich do pensjonatu Taylora.

- Nigdzie ich nie wyślę!

- W takim razie połóż ich na kozetce. - Wskazał technikowi schody prowadzące do „pokoju Colemana”, po czym odwrócił się do Josie, która stała na podeście z szeroko otwartymi ustami. - Nie rób problemów, Josie - powiedział. - To niezdrowo dla ciebie. I dla dziecka.

Nic nie odrzekła, uniosła tylko oczy do nieba.

- Jak mogłaś, Hattie? - spytała po cichu swą chlebobawczynię i przyjaciółkę. - Jak mogłaś mi to zrobić?

Sama trudno było ignorować. Gdyby choć potrafił usiedzieć w swoim pokoju! Ale on tego nie potrafił. Ciągłe wpadał do kuchni, zadając pytania, robiąc notatki, prosząc, by mu przypomniawsza o spotkaniu z tajskimi biznesmenami albo niemieckimi antykwariuszami, lub o transporcie japońskich parasolek.

Parasolki! Na litość boską!

Josie wielokrotnie w ciągu tych dni miała ochotę powiedzieć mu po prostu, żeby skoczył do jeziora. Ale nie chciała, by wiedział, że ją denerwuje.

I byłoby o wiele lepiej, gdyby nie odgrywał roli gospodarza pensjonatu. Dwa razy, gdy zadzwiecszał dzwonek, Sam pospieszył otworzyć drzwi i wprowadził gości z tą radosną pewnością siebie, która niewątpliwie pomagała mu nieraz w interesach.

Powtarzała sobie, że ma do tego prawo. Ostatecznie to on był właścicielem pensjonatu. I jej szefem. Josie chciała tylko, by to powiedział.

Ale zamiast tego, powtarzał w kółko: „To jest Josie, tamto jest Josie... Josie jest tu gospodynią”. A potem patrzył na nią władczym wzrokiem i wszystkie kobiety uśmiechały się z aprobatą i stwierdzały, że to miło mieć przez cały czas męża przy sobie.

Josie miała ochotę go udusić. Chętnie włożyłaby podkoszulek z napisem: „On nie jest moim mężem”. Ale się nie odważyła.

Nie jesteśmy małżeństwem! - chciała krzyczeć, ale nie krzyczała, ponieważ gospodyni pensjonatu nie wypada krzyczeć na swoich gości.

Dzień był gorący i fizycznie czuła się nie najlepiej. Właściwie w duchu była wdzięczna Samowi, że zajął się gośćmi. Podniosła wzrok znad

girlandy kwiatów, którą przygotowywała do jednego z pokojów, i zobaczyła w drzwiach kuchni Benjamina i Cletusa.

- Wygląda, jakbyssała cytrynę - powiedział Cletus do Benjamina.

- To nie cytryny. - Josie uśmiechnęła się, by przekonać ich, że czuje się doskonale. - Po prostu jest mi gorąco.

- Włączyć klimatyzację? - spytał Cletus.

- Nie, wytrzymam.

- Ale nie wyglądasz na zbytuo uszczęśliwioną - zauważył Benjamin z poważną miną. - Czyżby Samowi nie spieszo było do ślubu?

- Jakiego ślubu? - Głowa Josie aż podskoczyła.

- Oczywiście waszego.

- Nie będzie żadnego ślubu - oświadczyła uroczyście.

- Co też mówisz! Oczywiście, że będzie. Po to Sam przyjechał.

- To jeszcze nie oznacza, że za niego wyjdę.

- Dlaczego nie? - Cletus wyglądał tak, jakby go osobiście znieważono.

- Bo nie chcę - odparła stanowczo i stłumiła westchnienie irytacji. Musi tym dwóm starszkom, którzy tak bardzo się o nią niepokoiili, jakoś to wytłumaczyć. - Nie wychodzi się za mąż tylko dlatego, że będzie się miało dziecko - wyjaśniła.

- Ależ to bardzo ważny powód - obruszył się Cletus.

- Cholernie ważny - przyznał Benjamin.

- Nie dla mnie! - Uparcie potrząsała głową.

- Znasz lepszy?

- Miłość.

- Przecież go kochasz. - Staruszkowie patrzyli na nią z niekłamanym zdziwieniem.

Josie odwróciła wzrok. Wzięła do ręki kilka gałązek eukaliptusa i związała je drutem.

- Kiedyś się w nim kochałam... - powiedziała cichym głosem. - Dawno temu.

Dwie pary brwi uniosły się sceptycznie do góry. Do licha, chyba nie zamierzają jej przypominać, że całkiem niedawno poszła z nim do łóżka!

- Już go nie kochasz? - Cletus z niedowierzaniem przechylił głowę.

- To minęło - powtórzyła i spoglądając na nich z nadzieją, dodała: - Czy moglibyście się do tego nie wtrącać?

- Próbowaliśmy tylko ci pomóc - usprawiedliwił się Cletus.

- Wiem o tym. - Ćwiczyła swoją cierpliwość. - Ale to mi nie pomaga. Jest mi jeszcze trudniej, gdy muszę się tłumaczyć.

- W takim razie ja się z tobą ożenię - zasugerował Benjamin. - To znaczy... jeśli szukasz kogoś, kto cię kocha... - Bładoniebieskie oczy patrzyły na nią wojowniczo.

Josie ogarnęło wzruszenie. Przeszła przez kuchnię i objęła Benjamina.

- Och, Ben, jesteś taki dobry... - Pocałowała go w czerstwy policzek. -I kocham cię, Ben. Wiesz, że tak. - Uśmiechnęła się do obydwu staruszków. - Ale nie tego rodzaju miłość chcę odczuwać do mężczyzny, którego poślubię. I chcę, by on czuł do mnie również ten inny rodzaj miłości...

- Myślisz, że Sam tego nie czuje? - zapytał po chwili Cletus.

- Nie. - Josie potrząsnęła głową. - To był błąd. Popelniliśmy błąd. Małżeństwo byłoby następnym. - Spojrzała na nich nieśmiało, szukając akceptacji.

Mężczyźni popatrzyli na nią poważnie i pokiwali głowami.

Właściwie nie wiedziała, czego chce. Może chciała, by jej to wyperswadowano? Może chciała od kogoś usłyszeć, że tamta miłosna noc nie była błędem, że Sam ją kochał...

Ale wiedziała, że nie była to prawda. Sam nigdy nie wyzna jej miłości. Będzie mówił wyłącznie o obowiązku i poczuciu odpowiedzialności.

A Josie nie chciała spać Samowi na głowę w charakterze jeszcze jednego obowiązku.

Pragnęła, żeby wyjechał.

Jeśli Sam nie wyjedzie z własnej woli, cóż - znajdzie sposób, by go do tego zmusić.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

---

Powinno się udać.

Sam był przyzwyczajony do prowadzenia interesów za pomocą telefonu, teleksu i poczty elektronicznej. A jeśli tajscy biznesmeni nie godzili się na przyjazd do Dubuque - ich strata. Da sobie radę bez nich.

Ale wszystko szło jak po grudzie. Wiadomości ginęły na łączach, były źle odczytywane albo przekręcane. Ledwie zdążył wejść do łazienki, jego biurko natychmiast było sprzątane, a kosz z papierami opróżniany. Kontrakty, nad którymi pracował od miesiący, po prostu rozplywały się w powietrzu.

Nowa linia telefoniczna stale szwankowała. Technik twierdził, że nie rozumie, co się dzieje, w jego obecności wszystko podobno było w najlepszym porządku.

Sam doszedł do wniosku, że to złośliwość przedmiotów martwych. Zapytał Josie, czy ma podobne problemy z telefonem w pensjonacie. Odparła, że nie. To było jedno z nielicznych słów, które do niego powiedziała.

Starła się go unikać, ale gdy usiłował skupić się nad swoją pracą - wyrastała jak spod ziemi; odkurzała, uderzała w coś młotkiem albo oprowadzała gości po pokojach.

Zawsze mu się wydawało, że kobiety w ciąży bywają spokojne, łagodne i trochę ociężałe. Josie nie była ani spokojna, ani łagodna. I nawet nie ośmieliliby się pisać słowa na temat jej ociężałości - przynajmniej wówczas, gdy mogłaby to usłyszeć.

Po trzech dniach był wykończony. Nie potrafiła zachowywać się jak normalna kobieta w ciąży, która prowadzi pensjonat. Musiała nie tylko prowadzić pensjonat, ale jednocześnie chwycić się sześciu innych zajęć.

Pewnego popołudnia zaczęła wieszać obrazki, które kupiła na aukcji. Podnosiła je, wyciągając ręce, potem opuszczała i znów prostowała się; cofała się o krok, przyglądając się swemu dziełu. Następnie zdejmowała je ze ściany i przenosiła się do następnego pokoju, gdzie całe przedstawienie zaczynało się od początku. Działo się to oczywiście w pokojach, w których szukał ucieczki, by trochę popracować.

- Już tutaj byłeś - przypomniał, gdy wtoczyła się do biblioteki z monstrualnie wielką ramą wypełnioną fotografiami starych budynków w Dubuque.

- Wiem. - Wzruszyła ramionami. - Myślałam, że może znajdę lepsze miejsce, ale nie znalazłam. - Twarz miała czerwoną z wysiłku, ale znów zaczęła przewieszać obrazy.

- Daj mi to, do diabła! - Wyrwał jej ramę z rąk. - Gdzie chcesz to powiesić?

- Tam. - Pokazała ścianę nad regałem z drzewa czereśniowego, ale po chwili zmieniła zdanie, odwróciła się w stronę łazienki, wskazując nową, dwuosobową wannę z mosiądzu: - Nie, tam! Będą mieli na co popatrzeć podczas kąpieli.

Sam przeniósł ramę przez cały pokój. Usiadł na brzegu wanny, zdjął klapki i wszedł do środka.

- Gdybym kąpał się z kimś w tej wannie, patrzyłbym na co innego - zauważył.

- Powieś obraz! - rozkazała krótko, lecz nie zdołała powstrzymać rumieńca.

Posłusznie powiesił ramę.

- Odchyła się trochę w lewo - zauważyła Josie. - Popraw. Nie, teraz za dużo... Jeszcze trochę. Już wystarczy.

- Przerwała, przyglądając się uważnie obrazowi. - A może lepiej by wyglądał nad półkami...? Sam ostentacyjnie wyszedł z wanny.

- Przepraszam cię, moja droga, ale zostanie tutaj.

- Ale...

- Naprawdę jest dobrze - dodał z naciskiem.

- W takim razie powieszę go sama!

Gdy podeszła do wanny, Sam zagroził jej drogę. W tym momencie zadzwonił telefon.

To była Elinor. Miała kłopoty z odbiorem transportu indyjskich tkanin. Potrzebowała podpisu Sama na dokumentach, które wysłała faksem.

- Muszę iść na górę i je przynieść - zakomunikował.

Jednak w zajętych na gabinet „pokoju Colemana” papierów nie znalazł. Biurko zostało sprzątnięte, kosz na śmieci opróżniony.

Gdy wybiegł na korytarz, usłyszał włączony elektroluks.

Usiłowała się go pozbyć. Nie trzeba było być geniuszem, by się tego domyślić.

- Co ty, u diabła, robisz? - zapytał nazajutrz po śniadaniu, wychodząc z gabinetu, w którym znów nie znalazł potrzebnego dokumentu.

Josie stała na szczycie drabiny i zmywała tapetę.

- A jak myślisz? - powiedziała, spoglądając w dół.

- Myślę, że próbujesz się zabić - odparł. - Zejdź, proszę!

- Nie. - Odwróciła się plecami i kontynuowała pracę.

- Nie?! - Sam miał wrażenie, że za chwilę się udusi. Gdy sięgnął ręką, by poluzować krawat, zorientował się, że ma na sobie tylko podkoszulek.

Zdenerwowany, rzucił plik papierów na podłogę i chwycił Josie za biodra, usiłując zdjąć ją z drabiny.

- Jak śmiesz! - zawołała i ledwie stopami dotknęła ziemi, rzuciła się na niego z pięściami. - To moja praca! Gospodyni odpowiada za porządek w pensjonacie! Przeczytaj sobie zakres moich obowiązków. Zawsze to robiłam...

- Zrobię coś mądrzejszego. Zmienię zakres twoich obowiązków! - Josie starała się wyrwać, ale Sam jej nie puszczał; przeniósł dłonie z jej bioder na nadgarstki i mocno zacisnął. - Wcześniej nie byłaś w ciąży, a teraz jesteś. W dodatku z moim dzieckiem. Będziesz więc trzymać się z dala od drabiny! - dodał kategorycznym tonem.

Nareszcie ją puścił. Odwróciła wzrok i cofnęła się o krok, a potem spojrzała na niego ze złością.

- Ktoś to musi zrobić - podjęła wojowniczo.

- Zatrudnimy odpowiednią osobę.

- Pieniądze rozwiązują wszystkie twoje problemy, prawda, Sam? - zadrwiła.

Zacisnął szczękę. Zrozumiał, że usiłuje go sprowokować. Musiała wiedzieć, że pieniądze nic dla niego nie znaczą! Ale jej to wcale nie obchodziło. Chciała podtrzymać kłótnię.

- Pieniądze rozwiążą ten problem - odparł ze śmiertelnym spokojem.  
- Zadzwoń i wezwij jakiegoś majstra, który zmyje tapetę.

- Jakiegoś majstra! - prychnęła z pogardą. - Widzę, że nie doceniasz kobiet!

- W porządku, zatrudnij kobietę. - Zazgrzytał zębami ze złości. - Albo hienę z dwiema głowami. Nic mnie to nie obchodzi. Ale sama ani mi się waż podchodzić do drabiny!

Josie popatrzyła na niego ze złością. Odwzajemnił jej spojrzenie.

Zadzwoił telefon. Sam zacisnął zęby, ale nie podniósł słuchawki.

- Zamierzam odebrać ten telefon w bibliotece - oznajmił, podnosząc rękę, by z góry uprzedzić jej protesty. -I nic mnie nie obchodzi, czy zarezerwowałaś ten pokój dla kogoś, czy nie. Mam pilne sprawy do załatwienia i zamierzam je załatwić! A ty nie zbliżaj się do drabiny!

Kolejny dzwonek telefonu zagłuszył jego słowa.

- Czy ktoś w ogóle podniesie słuchawkę? - zapytał ze złością Cletus. Sam podniósł do ucha telefon komórkowy.

- Mówi Fletcher, proszę zaczekać. - Nacisnął klawisz i posłał Josie zagniewane spojrzenie: - Rozumiesz, co powiedziałem?

Zapadła cisza.

- Znajdę kogoś do pracy - odezwała się w końcu Josie i unosząc podbródek, weszła na schody.

Z tyłu w ogóle nie było widać, że jest w ciąży. Wyglądała bardzo seksownie. Kobieta z najdłuższymi i najpiękniejszymi nogami na świecie.

Sam jęknął. Światelko telefonu migzło. Za ścianą włączył się faks.

- Czy ktoś wreszcie odbierze telefon?! - krzyknął Cletus. Sam zignorował faks i nacisnął guzik telefonu. - Słucham?

- Nareszcie - powiedziała z nie skrywanym rozdrażnieniem Elinor. - Pan Rajchakit chciałby z tobą rozmawiać. Czeka.

- Ach!

Sam poszukał w pamięci słów, które znał po tajlandzku. Nie było teraz czasu na rozmyślania o nogach Josie.

Nie był to najbardziej udany tydzień w interesach. To pewne.

Z trudem udało mu się za pomocą telefonu - za który na pewno zapłaci astronomiczny rachunek - przyjąć transport jadeitu z lotniska w Nowym Jorku, przełożyć od dawna zaplanowane spotkanie z biznesmenami z Hongkongu oraz ułagodzić pana Rajchakita obietnicą, że spotkają się w Nowym Jorku za dwa tygodnie. Sam jednak nie był pewien, czy uda mu się dotrzymać obietnicy.

Wszystko zależało od Josie. Czy uda mu się przywrócić jej zdrowy rozsądek, czy też prędzej ona postawi na swoim i wypędzi go z „Opoki”?

Nie chciał się przyznać, ale szło jej całkiem nieźle. To jasne jak słońce, że robiła wszystko, by wyjechał. Miał nieodparte wrażenie, że wokół niego rozpętało się tornado, natomiast pozostałych gości otaczała atmosfera niebiańskiego spokoju.

Dopiero po pięciu dniach wziął się na sposób i znalazł trochę wytchnienia. Usłyszawszy, że goście - para w podróży poślubnej - przyjadą dopiero późnym wieczorem, wślizgnął się niepostrzeżenie do zarezerwowanej dla nich „kwatery kapitana” i tam spokojnie pracował. Wspaniale, cieszył się w duchu, ale na wszelki wypadek zabarykadował drzwi.

Trzy godziny spędził w idealnej ciszy i samotności. Nadgonił zaległe prace, a nawet udało mu się wykonać kilka telefonów. Nikt nie rzucał mu

kłód pod nogi, nie stawiano mu drabiny nad głową, nie malowano krzesła, na którym siedział, ani nie dawano mu kota do potrzymania.

O szóstej wieczorem czuł się tak, jakby zdobył Everest. Posprzątał ostatnie dokumenty z biurka, wstał i przeciągnął się, ponieważ trochę bolały go plecy.

- Nie jesteś w formie - mruknął pod nosem. Zabrał papiery, rozejrzał się jeszcze po pokoju, czy o niczym nie zapomniał i wyszedł na korytarz,

Dom pogrążony był w ciszy. Jakaś para popijała sherry w „rózowym saloniku”. Spodziewał się, że zastanie tam Josie. Ale Josie tam nie było. Tylko Errol Flynn spał skulony pod paprotką, a Wallace Berry siedział na parapecie i wyglądał przez okno. Gdy Sam wszedł do saloniku, kot leniwie odwrócił głowę.

- Gdzie jest Josie? - zapytał. Wallace ziewnął w odpowiedzi.

Zadzwoił dzwonek do drzwi. Tym razem Sam ani drgnął. Wy tłumaczono mu przecież, że to nie jego obowiązek. Ale dzwonek odezwał się znów.

Sam czekał, aż usłyszy kroki Josie wychodzącej z kuchni. Para siedząca w saloniku spojrzała na niego wyczekująco. Chcąc nie chcąc, zmarszczył brwi i wsunął głowę do pokoju kredensowego.

- Josie...?

Poszedł do kuchni. Nie było tam nikogo. W ogrodzie zobaczył Cletusa samotnie podlewającego grządki. W końcu postanowił otworzyć drzwi frontowe, ale ubiegł go Benjamin i wprowadził już gości do środka.

- Nie jestem już tak szybki jak kiedyś - przeproszał dwie stojące w drzwiach damy. - Proszę podać mi walizki... O, a to jest pan Sam, a to Wallace Berry.

Sam uśmiechnął się pod nosem.

- Gdzie jest Josie? - zapytał.

- Prosiła, bym zajął się pensjonatem - wyjaśnił przez ramię

Benjamin. - Tędy, proszę pani...

Przez resztę wieczoru Benjamin pełnił rolę gospodarza. Gdy Josie nie pojawiła się przy kolacji, Sam pomyślał, że gdzieś wyszła. Właściwie od jego przyjazdu nie miała wolnego dnia i oczywiście mogła to zrobić. Ale dlaczego nic mu nie powiedziała? Poczul się urażony.

Przygotował kolację dla siebie i Benjamina w nadziei, że gadatliwy staruszek powie mu, dokąd udała się Josie.

Ale Benjamin nic nie miał na ten temat do powiedzenia. Opowiadał natomiast przygody, jakie przeżyli z Walterem podczas wypraw łodzią po Missisipi. Sam słuchał z przyjemnością tych opowieści, jakby żywcem wyjętych z książek Marka Twaina. Przypomnił sobie przy okazji, jak pewnego razu popłynął z Walterem na jedną z wysp na rzece. Rozpalili tam ognisko i gawędzili do późna w nocy.

Była wówczas z nimi Josie; z uśmiechem na twarzy i żywym zainteresowaniem w oczach chłonęła te opowieści. Pamiętał, jak z rozbawieniem obserwował jej entuzjazm. Koniecznie chciała spróbować pływania na tratwie i następnego dnia rano zabrała się do zbijania desek. Sam był pewien, że po kilku godzinach zrezygnuje, ale się pomylił.

Przycinanie drzewa i łączenie elementów zabrało Josie pełne trzy dni. Pracowała bez wytchnienia. A gdy wyruszyła w dziewiczy rejs, była rozpromieniona jak dziecko; wróciła brudna, pogryziona przez komary i spalona słońcem - ale nigdy nie widział nikogo, kto by się szczerzej uśmiechał.



Tak samo uśmiechała się tej nocy, gdy się kochali...

Gdy Benjamin wyszedł, Sam usiadł w saloniku i patrząc przez okno na rzekę, rozmyślał o tamtych czasach. I tamtej nocy z Josie.

Starał się dotąd o tym nie myśleć. Nie było przecież sensu łamać sobie głowy. Josie należała do Kurta.

Ale dziś? Dziś nie należała do Kurta. Do niego też nie...

Co właściwie o niej wiedział poza tym, że była uparta, miała miękkie serce dla ludzi, potrafiła się pięknie uśmiechać i... że będzie matką jego dziecka?!

Do licha, nawet nie miał pojęcia, gdzie się teraz podziewa! I z kim! Nerwowo maszerował po saloniku. Do diabła z nią!

Wybiła dziesiąta. Potem jedenasta. Josie nadal nie było. Może wyszła z przyjaciółką? Może z Kurtem?

Ta ostatnia myśl sprawiła, że przyspieszył kroku. Po chwili zatrzymał się przy telefonie; popatrzył na aparat, potem chwycił słuchawkę. Nikt jednak nie odpowiadał. Włączyła się sekretarka. „Tu Kurt Masters. Proszę zostawić wiadomość”.

Cisnął słuchawkę.

Zadzwoił dzwonek do drzwi. Sam wpuścił spóźnionych gości. Była to para w podróży poślubnej, która zarezerwowała „kwatery kapitana”. Zaprowadził ich do pokoju, po drodze składając życzenia.

Przechodząc obok apartamentu Josie, zatrzymał się nagle. Coś go tknęło. Zapukał cicho do drzwi. Nie było odpowiedzi. Zobaczył jednak sączące się spod drzwi światło. Ponowił pukanie.

- Josie, jesteś tam...?

Po długiej chwili ciszy usłyszał kroki. Zamek trzasnął, drzwi się otworzyły. Sam stał jak oniemiały.

- Co ci się stało? - jęknął.

- Nic.

To było oczywiste kłamstwo. Nigdy przedtem nie widział Josie w tak okropnym stanie. Twarz jej miała barwę popiołu, usta wyglądały tak, jakby pobrudziła je sadzą, a oczy przypominały wypalone dziury.

- Co się stało? - Sam wszedł do małego saloniku. Josie miała na sobie ten sam szlafrok, w który była ubrana pamiętnej nocy. Teraz szlafrok ledwie przykrywał jej brzuch. Skrzyżowała ręce na piersi i niezdarnie wzruszyła ramionami.

- Mam skurcze - wyjaśniła cichym głosem.

- Skurcze? Teraz? Będziesz rodzić?

- Nie... Oczywiście, że nie. - Ponownie wzruszyła ramionami. -

Przynajmniej myślę, że nie. - Ostatnie trzy słowa raczej wyszeptała, niż powiedziała. Zaczęła drżeć.

Sam zaklął pod nosem, objął ją ramieniem i poprowadził do sypialni.

- Musisz się położyć.

- Leżałam...

- Przepraszam... Dlaczego nic nie powiedziałaś? - Popychał ją delikatnie w stronę łóżka.

Nic nie odpowiedziała, usiłując wyzwolić się od jego ramienia. Ale nie odsunął się ani o krok, położył ją na łóżku i otulił kołdrą.

- Dzwoniłaś do lekarza?

- Tym razem nie...

- Co to znaczy „tym razem”, do diabła? Jak często to się zdarza?

- Nie przeklinaj - odparła znużonym głosem. - Dziecko się wystraszy.

- Dzieci reagują na ton głosu, a nie na słowa. - Nie był pewny prawdziwości tego twierdzenia, ale brzmiało przekonywająco. - Natychmiast zadzwoń do lekarza!

- Nie ma sensu. Powie po prostu, bym się położyła. - Jo-sie była biała jak otulająca ją pościel.

- Kiedy to się zaczęło?

- W porze lunchu.

- W porze lunchu!

- Skurcze nie są regularne. Niezbyt regularne... - Odwróciła od niego wzrok, zaciskając palce na kołdrze. - Po prostu potrzebuję odpoczynku. - Głos jej brzmiał bardzo słabo i z trudem przełykała ślinę.

- Dzwonię do lekarza - oznajmił stanowczo.

- Nie trzeba, naprawdę... - Uniosła się na łokciach.

- Trzeba. Jak nazywa się twój lekarz?

- Doktor Bastrop - odezwała się w końcu niechętnie.

- Ale naprawdę nie trzeba go niepokoić... Jest sobota wieczór.

- Uważasz, że dzieci przychodzą na świat tylko od poniedziałku do piątku? - powiedział zirytowany. Odszukał numer w notesie i zaczął go wykręcać.

- On nic nie zrobi, zobaczysz - usiłowała jeszcze protestować. - Powie, że powinnam leżeć w łóżku i odpoczywać.

- Zobaczymy - odparł i powiedział do słuchawki: - Tu Sam Fletcher, chciałbym rozmawiać z doktorem Bastropem. Natychmiast.

Pięć minut później byli w drodze do szpitala.

Josie zrozumiała teraz, dlaczego Sam odnosił takie sukcesy na kierowniczym stanowisku. Bez podnoszenia głosu i potrzeby przekonywania kogokolwiek sprawił, że cały personel medyczny wykonywał jego polecenia.

Jeśli to ona zadzwoniłaby do gabinetu doktora Bastropa, zapewne uprzejmie by ją pocieszono, rozwiano obawy i na tym koniec. Natomiast Sam zmusił wszystkich do działania.

- Jedziemy! - zakomunikował, odkładając słuchawkę.

- Jedziemy do szpitala.

Gdy ściągnął z niej kołdrę, zwinęła się na łóżku i objęła ramionami. Znow złapały ją skurcze. Potrząsnęła raptownie głową.

- Nie, nie chcę... nie mogę nigdzie jechać.

- Nie bądź śmieszna, lekarz jest w drodze, mamy się spotkać w szpitalu!

Josie nadal się nie poruszyła; oddech miała przyspieszony. Sam zaklął i pochylił się nad łóżkiem.

- Masz teraz skurcz, prawda? - Właściwie nie było to pytanie. - Mocny?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Naprawdę wcale nie boli... To tylko... - Starła się, by głos jej zabrzmiał spokojnie, ale to jej się nie udało. - Nie wiem! O Boże, a jeśli to już? Jest przecież za wcześnie!

- Dlatego jedziemy do szpitala. - Był tak blisko, że czuła na ramieniu jego oddech. Przyglądał jej się czujnie, z niepokojem w oczach. -

Przechodzi? Możesz usiąść? - A gdy lekko skinęła głową,

zakomenderował: - Chodźmy! Nie ma czasu do stracenia! - Objął ją

ramieniem i podniósł do siedzącej pozycji. Potem wsunął rękę pod jej kolana. - Zaniosę cię.

- Nie trzeba! - gwałtownie zaprotestowała. Mocno zacisnęła szlafrok wokół pasa. - Wyjdź stąd!

- Musisz pojechać do szpitala, Josie - perswadował łagodnie.

- Pojadę, ale o własnych siłach. Najpierw muszę się ubrać, więc wyjdź, proszę.

Zawahał się. W pierwszej chwili chciał nawet powiedzieć, że widział już wszystko, co ma do zaoferowania, ale na szczęście ugryzł się w język.

- Poczekam pod drzwiami - skapitulował i opuścił jej apartament.

Ledwie drzwi się za nim zamknęły, wstała i wolno zaczęła się ubierać. Gdy wkładała sweter, chwycił ją kolejny skurcz. Był silniejszy niż poprzednie; pochyliła się przerażona.

Wiedziała, że utrata dziecka rozwiązałaby wiele jej problemów. Ale za żadne skarby nie chciała go stracić! Była tego pewna od samego początku. Stała teraz bezradnie w oczekiwaniu aż skurcz minie.

- Josie? - Głos Sama dochodzący zza drzwi był cichy, ale stanowczy.

- Zaczekaj! - Udało jej się uporać ze swetrem; usiadła, żeby założyć sandały.

- Gotowa? - Nie wytrzymał i zajrzał do pokoju. - Zaczekaj, pomogę ci!

Nim zdała sobie z tego sprawę, klęknął przed nią i wsunął jej buty na nogi. Czuła dotyk jego palców, gdy zapinał sprzączki. Poradził sobie z tym znacznie lepiej, niż gdyby miała zrobić to sama.

- To luksus mieć zakładane buty - skomentowała, zdobywając się na słaby uśmiech. -

Spojrzał na nią z dołu i na moment oczy ich się spotkały.

Odwzajemnił jej uśmiech.

Uzmysłowiła sobie, że po raz pierwszy, od chwili gdy tu przyjechał, uśmiechnęli się do siebie. Do licha, to głupie tak się uśmiechać... Zebrało jej się na płacz. Energicznie zamrugła oczami, by powstrzymać łzy.

- Chodźmy już! - Sam objął ją ramieniem i pomógł wstać. -

Chodźmy! - ponaglił.

W szpitalnej izbie przyjęć czekał już na nich lekarz. Był to przystojny mężczyzna o przyprószonych siwizną włosach i sumiastym wąsie. Miał wesoły, rubaszny sposób bycia, który podziałał na Josie krzepiąco.

- Mamy rozrywkę w sobotni wieczór, co? - Uśmiechnął się szeroko.

- Przykro mi - wymamrotała. - Jestem pewna, że to nic poważnego.

To on... on... - Bezradnie popatrzyła na Sama, który ciągle podtrzymywał jej łokieć.

Doktor Bastrop spojrzał Samowi prosto w oczy. Wiedział, że Josie nie chciała poinformować ojca dziecka o ciąży. W duchu tego nie pochwalał, ale postanowił się nie wtrącać. Teraz wyglądało na to, że ocenia go wzrokiem. Sam, nie zmieszany, odwzajemnił spojrzenie.

- Zobaczymy, co się da zrobić - powiedział w końcu doktor Bastrop.

I zwrócił się do Sama: - Proszę poczekać na korytarzu. Zawołam pana, gdy już będziemy wiedzieć, na czym stoimy.

Sam skinął tylko głową i wsuwając ręce do kieszeni, powiedział:

- Poczekaam.

Po zakończeniu badania Josie, już ubrana, przysiadła na krześle i bacznie wpatrywała się w doktora Bastropa. Niewiele jednak potrafiła wyczytać z wyrazu jego twarzy.

- Jak często miała pani dziś skurcze? - zapytał, bębniąc palcami po blacie biurka.

- Czasami co minutę, czasami co pięć - odparła. - Panie doktorze, czy ja już rodzę? - spytała przerażona.

- Mam nadzieję, że nie - powiedział doktor, patrząc na nią spod oka.

- Proszę poprosić ojca - zwrócił się do pielęgniarki.

- Czy z nią wszystko w porządku? - Sam wpadł do gabinetu jak burza.

- Czuje się dobrze.

- A dziecko? Czy już się rodzi?

- Jeszcze nie wiem.

- Nie potrafi pan powiedzieć? - zniecierpliwił się Sam.

- Mogę tylko przypuszczać.

- Ale...

- Musimy czekać. - Doktor uśmiechnął się, jakby chciał ich podtrzymać na duchu. - Jeśli pani będzie więcej odpoczywać i oszczędzać się, skurcze powinny ustąpić. Wczesne fałszywe skurcze często występują u wieloródek. Nie byłbym zaniepokojony, gdyby to była pani trzecia albo czwarta ciąża, a przynajmniej drugie dziecko. Powiedziałbym, że to normalne. Ale jeśli chodzi o pierwszą ciążę, cóż - trudno powiedzieć. Nawet jeśli urodziłaby pani teraz dziecko, ma ono duże szanse przeżycia. Wiele noworodków urodzonych w siódmym miesiącu udaje się uratować. Ale natura woli pełne dziewięć miesięcy. To mniej problemów i większe

szanse. Chciałbym, by pani utrzymała ciążę tak długo, jak to możliwe. - Spojrzał na Josie, a potem wolno przesunął wzrok na Sama.

- W porządku, zwolnię tempo - powiedziała natychmiast Josie.

- Zwolnienie tempa nie wystarczy - rzekł doktor Bastrop. - Powinna pani w ogóle przestać pracować.

- Przestać?

- Tak jest - potwierdził stanowczo doktor. - Nie wiem, czy ostatnio przemęczała się pani, czy nie, ale widzę wyraźne pogorszenie.

Josie poczuła na sobie pełne potępienia spojrzenie Sama. Oblała się rumieńcem

- Musiałam pracować... Nie miałam zamiaru... Nie chciałam... - Głos jej zamarł.

- Nieważne, co pani robiła, Josie. Ale teraz trzeba się oszczędzać. A to oznacza brak pośpiechu. Żadnych schodów. Żadnego dźwigania.

- Mieszkam na piętrze! - zaprotestowała.

- Przeniosę ją na dół - wtrącił stanowczo Sam, a spojrzenie, jakie jej posłał, zniechęcało do wszelkich sprzeciwów.

- Przestanie pracować. Zostanie w łóżku do końca ciąży, jeśli tak pan sobie życzy.

Josie patrzyła na niego ze złością.

Ale doktor Bastrop miał wielce zadowoloną minę.

- Doskonale - powiedział i zwracając się do Josie, dodał:

- Najwyższy czas, by ktoś o panią zadbał.

- Sama sobie dam radę - zaprotestowała buńczucznie, ale zaraz skrzywiła się, ponieważ znowu poczuła skurcz.

Doktor położył rękę na jej brzuchu i poczekał, aż skurcz minie.



- Wiem, że pani potrafi o siebie zadbać - powiedział. - Przez cały czas robiła pani wszystko pod kątem dziecka. I jestem pewien, że będzie pani dalej tak postępować. Powinna się pani cieszyć, że pani mężczyzna chce jej pomóc.

On nie jest moim mężczyzną! - chciała krzyknąć. Nigdy nie był moim mężczyzną. On jest tylko ojcem dziecka! Przycisnęła dłonie do oczu i odchyliła się na krześle.

- Proszę zabrać ją do domu i położyć do łóżka - zarządził doktor Bastrop, zwracając się do Sama. - Trzeba ją teraz rozpieszczać. - A po chwili ciszy dodał: -I trzymać kciuki.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

---

- Nie możesz ich wykwaterować! - krzyknęła Josie, gdy Sam, zostawiwszy ją na krześle w kuchni, pomaszerował w stronę biblioteki, gdzie zamierzał ulokować ją na noc. - To nasi goście!

- Zrozumiej ją - rzucił przez ramię.

Poderwała się z krzesła, żeby go powstrzymać, ale Sam posłał jej na odchodnym tak stanowcze spojrzenie, że z rezygnacją opadła na krzesło.

- Pilnuj jej! - powiedział do Benjamin, a potem zwrócił się znów do Josie: - Zostań tutaj i nie ruszaj się! Za chwilę będę miał dla ciebie wolny pokój.

Nie wątpiła w to ani przez moment. Chociaż w samochodzie nie odezwał się nawet słowem, niemal słyszała myśli, które szalały mu w głowie.

Zamknęła oczy i jęknęła cichutko.

Benjamin pochylił się nad nią z zatroskaną twarzą.

- Boli? Dlaczego cię nie zatrzymali w szpitalu?

- Nie boli mnie. - Uśmiechnęła się słabo, z wysiłkiem. - Po prostu się martwię.

- O dziecko?

- O to, co wyrabia Sam.

- Robi to, co powinien - powiedział stanowczo Benjamin. - Troszczy się o ciebie.

Czy był to jakiś męski spisek? Czy każdy mężczyzna w promieniu stu kilometrów myślał, że powinien się nią opiekować, ponieważ zaszła w ciążę? Drzwi otworzyły się z rozmachem.

- Zwolnili bibliotekę - oświadczył Sam, nie kryjąc triumfu. - Zaraz zmienię ci pościel.

- Obudziłeś ich? - W jej oczach malowało się przerażenie.

- Mam wrażenie, że nie spali - rzekł z krzywym uśmiechem. - Zrozumieli sytuację. Obiecałem im weekend ekstra i przenieśliem do innego pokoju.

- Nie mamy przecież innego pokoju!

- Przenieśliem ich do twojego apartamentu. Wpatrywała się w niego z zapartym tchem. Jej apartament był prosto i skromnie urządzone i nie miał tych wszystkich udogodnień, które dodawały szyku pokojom gościnnym.

- Nie mogłem przenieść ich do „pokoju Colemana”, ponieważ zerwałaś tam tapetę. - Uniósł brwi. - Moja droga Josie, wydaje mi się, że zostałeś pobita własną bronią.

Miała szczerą ochotę pokazać mu język. Zamiast tego, westchnęła z irytacją i odwróciła głowę, by nie patrzeć na jego szelmowsko uśmiechniętą twarz.

- Wrócę po ciebie za kilka minut - oświadczył.

- Nie musisz po mnie wracać - warknęła. - Wiem, gdzie znajduje się biblioteka. - Opadła na krzesło, ponieważ znów przeszył ją dotkliwy ból. Przycisnęła rękę do brzucha.

Sam zauważył ten gest i zacisnął usta.

- Pospieszę się.

Myśląc rozsądnie i logicznie, Sam powinien mieć nadzieję, że Josie straci dziecko. To by raz na zawsze przecięło łączące ich więzy, rozwiązało problemy i ułatwiło życie.

Ale sama myśl o tym napawała go przerażeniem. Od chwili gdy dowiedział się, że zostanie ojcem, nie wybiegał myślami w przyszłość; nie leżał z otwartymi oczami, wyobrażając sobie dziecko, którego został ojcem.

A jednak na myśl, że mógłby je stracić, doznawał wstrząsu. Wiedział, że poruszy niebo i ziemię, by do tego nie dopuścić.

Wykwaterowanie gości z biblioteki było najmniejszym problemem. Z łatwością wyrzuciliby ich wszystkich, jeśli miałyby to pomóc Josie donosić dziecko.

Ale czy to by pomogło? Przeciwnie - jeszcze bardziej by ją zdenerwowało. Kochała ten pensjonat i prowadziła go wzorowo. Miał rację, uważając, że „Opoka” powinna do niej należeć.

I dopilnuje, by tak się stało. A na razie zadba o to, by miała ciszę i spokój.

Posprzątał sypialnię Josie, zabrał jej szlafrok i nocną koszulę, a potem zaczął poszukiwać bielizny w szufladzie. Czuł się trochę nieswojo, jakby ją podglądał przez dziurkę od klucza.

Gdy już uporał się z gośćmi, wrócił do biblioteki i posłał tam łóżko. Jeszcze nigdy w życiu tak szybko tego nie zrobił. Niezbyt mu się to udało. Prześcieradło nie zostało wygładzone z wojskową precyzją. Trudno.

Wróciwszy do kuchni, z radością skonstatował, że Josie siedzi w tym samym miejscu, gdzie ją pozostawił.

- Łóżko gotowe - zakomunikował. - Jak się czujesz?

- W porządku. - Ale nadal wyglądała blado i mizernie. Gdy podnosiła się z krzesła, pospieszył jej z pomocą.

Nie wiedział, czy się cieszyć, czy smucić, gdy go odtrąciła.

- Nadal masz skurcze? - zapytał, towarzysząc jej do biblioteki.

Skinęła głową, ale nic nie powiedziała. Widać było, że porusza się z wysiłkiem. Przy drzwiach biblioteki przystanąła i odwróciła głowę.

- Dziękuję - powiedziała. To była wyraźna odprawa.

- Bardzo proszę. - Ale nie odchodził, przeciwnie, podszedł do niej tak blisko, że musiała się cofnąć. W końcu obydwójce znaleźli się w bibliotece.

- Co ty wyprawiasz? - zawołała.

- Zostaję tu. - Zignorował wrogie spojrzenie, jakie rzuciła mu przez ramię. - Przyniosłem ci koszulę.

Wyrwała mu ją z ręki i skierowała się do łazienki.

- Chyba tam za mną nie pójdziesz? - powiedziała z irytacją.

Przytaknął, ale gdy zamknęła za sobą drzwi, zaczął się

pod nimi. Słyszał ciche odgłosy krzątania. Potem przez chwilę nic nie słyszał. Chciał spytać, czy wszystko w porządku, ale się pohamował. Po pięciu minutach, które dłużyły się Samowi niemiłosiernie, otworzyła drzwi.

W milczeniu ujął ją pod ramię. Wyczuł, że zeszywniała.

Podprowadził ją do łóżka i odchylił kołdrę.

Wsunęła się pod nią i złożyła ręce na kołdrze.

- Już! - powiedziała. - Zadowolony? Jestem cała opatulona. A teraz dobranoc.

Zgasił lampę. W pokoju zrobiło się ciemno; tylko zza okna sączyło się blade światło księżyca.

- Dobranoc, Josie. - Ale zamiast wyjść, przeszedł przez pokój i usiadł w bujanym fotelu.

- Sam? - Uniosła głowę.

- O co chodzi?

- Co ty tutaj robisz? Chyba nie zamierzasz zostać?!

- Spróbuj zmusić mnie do wyjścia. - Odepchnął się stopą od podłogi; fotel zapiszczał.

- Wiesz, że nie powinnam się ruszać! - rzuciła z furją.

- Wiem.

Uderzyła pięścią w puchową poduszkę.

- Do diabła z tobą, Samie Fletcher! Dlaczego to robisz?

- Głos jej brzmiał tak, jakby za chwilę miała się rozpląkać.

- Och, Boże, nie płacz. - Poderwał się z miejsca. Już raz słyszał, jak płakała... z powodu Kurta.

- Wcale nie płaczę - zaprzeczyła gwałtownie, ale głos jej się załamał, a leżące na kołdrze ręce mocno przycisnęła do brzucha.

Sam zbliżył się do niej i przysiadł na brzegu łóżka. Wyciągnął rękę i objął jej dłoń. Próbowwała ją wyrwać, ale nie puszczał.

- Josie, proszę cię, przestań. - Miała zimną dłoń, bardzo zimną.

Zaczął ją pocierać palcami, aż przestała się wyrywać.

- Nie zasnę, jeśli stąd wyjdę - powiedział cichym głosem.

- Będę się o ciebie martwić.

- Ależ nic mi się nie stanie - tłumaczyła już spokojniej.

- Mam nadzieję. Ale wolę zostać. Chcę mieć pewność. Nie odpowiedziała. Z głębi jej piersi wydobył się cichy jęk, świadczący o cierpieniu.

- A co będzie jutro? - spytała płaczliwym głosem. - Muszę przygotować śniadanie na szóstą rano.

- Zajmę się tym.

- Nie przygotujesz śniadania dla osiemnastu osób.

- Przygotuję - powiedział Sam. - Nawet dla dziewiętnastu. Przyniosę ci śniadanie do łóżka. - Uśmiechnął się do niej w ciemności.

- Nie wygłupiaj się - usiłowała protestować.

- Wcale się nie wygłupiam - rzekł cicho. Nadal kciukiem gładził jej dłoń. — Nie martw się o jutro Josie. Wszystko będzie w porządku. Poradzimy sobie.

- Z niczym sobie nie poradzę - zawodziła. - Lekarz tak przecież powiedział...

- Będziesz mi tylko mówić, co mam robić - zasugerował z szerokim uśmiechem. - Zobaczysz, że ci się to spodoba!

Westchnęła tylko i znów opadła na poduszki. Wyczuł pod dłonią nagły skurcz w jej brzuchu. Ciało Josie zeszywniało, wzięła głęboki oddech i zastygła w bezruchu.

- Masz skurcz? - Sam zmarszczył brwi. Przyzwyczajony do pełnej kontroli nad swym ciałem, zastanawiał się, co czuje Josie, wydana na pastwę sił, nad którymi nie mogła zapanować. Może czuła urazę? Może do niego też czuła urazę?

Jakże mogło być inaczej! Przecież ta przypadkowa noc zmieniła całe jej życie, zrujnowała zaręczyny, zniszczyła wolność. Pragnął jej,

potrzebował jej pocieszenia, dotyku, miłości... I wziął to wszystko, nie zastanawiając się nad jej dalszym losem, skazując ją na życie godne pożałowania. ..

Obserwował bladą w świetle księżyca twarz Josie, trzymał jej rękę w swojej dłoni i wyczuwał narastające w jej brzuchu napięcie. Zastanawiał się, co mógłby zrobić, by naprawić krzywdy, które wyrządził - by zwrócić jej przynajmniej część życia, które straciła.

Nie pamiętała momentu zaśnięcia. Ale kiedy się obudziła, nie była we własnym łóżku, ani we własnym pokoju. Powrót do rzeczywistości zajął jej dłuższą chwilę. Zrazu ogarnęła ją panika, że zasnęła. Już dawno powinna wstać i przygotować śniadanie dla gości! Ale po chwili jeszcze większy strach - obawa, że straci dziecko, jeśli nie będzie leżeć spokojnie, przykuła ją do miejsca.

Leżała na boku pośrodku ogromnego łóża, przyciskając do siebie poduszkę. W ten sposób układała się do snu, odkąd dziecko podrosło, a ona czuła, że jej brzuch potrzebuje podpory. Czasami śniło jej się, że ta poduszka to Sam...

Wsunęła teraz pod nią rękę i delikatnie pogładziła brzuch. Zdawało jej się, że pod wpływem dotyku dziecko się poruszyło. Ale nie poczuła skurczu. Znów potarła brzuch. Czekwała, ledwie ośmielając się oddychać. Minęła minuta, dwie... Liczyła. Przypomniała sobie teraz, że usnęła licząc. I trzymając Sama za rękę...

Po pięciu minutach liczenia, gdy skurcz nie nastąpił, odetchnęła głębiej, napięcie ustąpiło i odważyła się przewrócić na plecy. Wtedy zobaczyła Sama. Spał w bujanym fotelu obok jej łóżka. Na stoliku stała taca ze śniadaniem. Sok pomarańczowy, omlet, bekon, sałatka owocowa...



- Och, Sam!

Nie podejrzewała nawet, że wypowie te słowa głośno. Ale Sam zamrugał powiekami i wolno otworzył ciemne oczy.

- Jak się miewasz? - Podniósł się z fotela, wpatrując bacznie w jej twarz.

Szczera troska w jego głosie niemal ją wzruszyła.

- Czuję się dobrze - powiedziała, unosząc się na łokciach.

- Pomogę ci.

Gdy podskoczył ku niej, zaprzeczyła ruchem głowy, oparła się o wezglowie łóżka i naciągnęła kołdrę. Powinna wstać i skorzystać z łazienki, ale nie chciała robić tego w jego obecności. I tak widział już dość, gdy paradowała w szlafroku.

- Żadnych skurczów? - Stał obok łóżka, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą i przyglądając jej się z uwagą.

- Żadnych. - Uśmiechnęła się lekko. - Kryzys minął, - Wymówiła te słowa swobodnie w nadziei, że pojmie aluzję i wreszcie opuści pokój.

Sam ani drgnął.

- Przyniosłem ci wcześniej śniadanie. Sądziłem, że obudzisz się, nim wrócę po nakarmieniu tej zgrai. Musiałaś być wykończona.

- To prawda - odparła cicho. Była również zaskoczona, że spała tak długo. Dochodziło wpół do jedenastej. Wyprostowała plecy. - Kto jest w recepcji? - zaniepokoiła się nagle. - Ludzie będą wyjeżdżać.

- Benjamin jest na posterunku. Wstał wcześniej i pomógł mi przy śniadaniu. Za godzinę przyjdzie Cletus. O nic się nie martw. Wszystko jest pod kontrolą. Naleśniki już wystygły i bekon też - zmienił temat. - Przyniosę ci coś świeżego.

Zawahała się. Z jednej strony nadarzała się sposobność pozbycia się Sama choć na chwilę z pokoju, z drugiej zaś - nie chciała, by ją obsługiwał.

- Mogę teraz wstać - powiedziała w końcu. - Jeśli wyjdiesz - dodała z naciskiem.

- Wyjdę - powiedział. - Ale zaraz wrócę.

- Nie musisz wokół mnie krążyć.

Nic nie mówił, tylko przyglądał jej się uważnie. Uniosła podbródek, starając się wyglądać na zdrową i pewną siebie. Przychodziło jej to z trudem, bo pamiętała, że jest w nocnej koszuli i z potarganymi włosami.

- Wrócę za pięć minut - oznajmił.

Zanim wrócił, zdążyła umyć twarz i zęby oraz uczesać włosy.

Przyniósł tacę, na której była jajecznica, grzanki i sok. Postawił tacę obok łóżka.

- Dziękuję - odezwała się Josie i czekała, aż sobie pójdzie.

Ale Sam nie przejawiał takich zamiarów.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

- O czym? - spytała, sięgając po grzankę.

- O minionej nocy.

- To już minęło. Czuję się doskonale. Wczoraj trochę się przepracowałam, to wszystko. Więcej tego nie zrobię.

- Nie zrobisz - przyznał ponuro. Stał oparty o półkę z książkami; Josie musiała odchylić głowę, by spojrzeć mu w oczy. Gdy to zrobiła, zobaczyła, że wcale się nie uśmiecha. Na jego twarzy malowało się skupienie.

Odepchnął się od półki i z pochyloną głową zaczął miarowo przechadzać się po pokoju. Nagle przystanął obok kominka i rzucając jej spojrzenie przez ramię, powiedział:

- Kilka dni temu powiedziałaś mi, że pragniesz tego dziecka...

Josie wysunęła podbródek.

- To prawda.

- W takim razie ostatnio nie zachowywałaś się rozsądnie. Poczula, że się rumieni.

- Nie zdawałam sobie sprawy... - bąknęła. - Nigdy nie zrobiłabym celowo czegoś, co mogłoby zaszkodzić dziecku.

- Naszemu dziecku.

Josie zacisnęła usta i odwróciła wzrok. Nie chciała widzieć wpatrzonych w siebie brązowych oczu Sama Fletchera. O Boże, a co zrobi, jeśli dziecko będzie miało oczy Sama...?

- Nigdy nie zrobiłabym nic, co mogłoby zaszkodzić dziecku - powtórzyła.

- Dlaczego więc nie zrobiłaś tego, co jest dla niego najlepsze?

- Co masz na myśli? - Zmrużyła powieki. Odwrócił się i spojrzał jej prosto w twarz.

- Wyjdź za mnie.

- Rozmawialiśmy już o tym, Sam.

- Nie przyjmuję do wiadomości twojej odpowiedzi! Mówisz, że chcesz dziecka, ale nie zamierzasz o nie zadbać. Myślisz...

- Słucham? - Z wściekłością odrzuciła grzankę na talerz. - Skąd wiesz, co jest dla dziecka najlepsze? Jesteś tu od tygodnia!

- I zauważyłem, że przez cały ten czas na złość mi zapracowywałaś się na śmierć.

- Musiałam...

- Niczego nie musiałaś. Chciałaś! Chcesz być niezależna. Chcesz się mnie pozbyć. Chcesz, by wszystko toczyło się zgodnie z twoim widzimisię. Nazywasz to dbaniem o dziecko? Miłością do dziecka? Nie rozśmieszaj mnie!

Nigdy dotąd Josie nie widziała Sama w takim ataku złości.

Podciągnęła kolana do brzucha, jakby chciała się przed nim obronić.

- Nie wiesz, o czym mówisz - powiedziała.

- Nie wiem? Myślę, że doskonale wiem. Myślę, że powinnaś przestać reagować na mnie jak głupia nastolatka, a zacząć zachowywać się jak osoba dorosła!

Dotknięta do żywego Josie patrzyła na niego ze złością.

- Głupia nastolatka? - Ledwie mogła wymówić te słowa. Jak on śmiał?

- Dla odmiany pomyśl o kimś innym prócz siebie - ciągnął napastliwie. - Twoje potrzeby nie mają tu znaczenia. Ani moje, zresztą. Chodzi o to, co jest najlepsze dla dziecka! Naszego dziecka! Twojego i mojego. Dziecko nie podejmie decyzji. Ty musisz ją podjąć. I ja również.

- Usiłujesz to robić, kierując mną - broniła się. - I znęcając się nade mną.

- Znęcając się! - parsknął. Popatrzył na nią, leżącą na łóżku i na tacę ze śniadaniem, które przyniósł.

Josie wiedziała, co sobie pomyślał. Objęła dłońmi kolana i starała się na niego nie patrzeć. Nic nie odpowiedziała. Nie mogła. To nie było w porządku... Nic nie było w porządku!

Usłyszała, jak siada na krześle obok łóżka. Gdy odwróciła się z niechęcią, zauważyła, że pochylił się do przodu i przyglądał jej badawczo. Czekoladowobrazowe oczy miały poważny, skupiony wyraz.

- Czy chcesz, żeby dziecko przeżyło? - odezwał się wreszcie.

- Oczywiście, że tak.

- A więc musisz mu pomóc. Pamiętasz, co powiedział lekarz? Musisz dużo odpoczywać i spać, zachować spokój i dobrze się odżywiać. A nie spełnisz tych warunków, jednocześnie zajmując się prowadzeniem pensjonatu. Nie dasz dziecku szansy, jeśli się nie wycofasz.

- A więc wycofam się - skapitulowała. - Zwolnię tempo. Ale to jeszcze nie oznacza, że muszę wyjść za ciebie za mąż - dodała spiętym głosem.

- Musisz, jeśli chcesz zatrzymać pracę...

- Wyrzucisz mnie? - Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Tak! Nie... Do diabła, nie wiem! - Przesunął ręką po włosach. -

Oczywiście, że nigdzie cię nie wyrzucę. Ale chcę, byś zrozumiała...

Chcę... - westchnął - chcę, by dziecko nosiło moje nazwisko.

Wpatrywali się w siebie w milczeniu.

- Dlaczego? - spytała cicho Josie.

- Ponieważ to moje dziecko. Nie chcę, by odmówiono mu praw. On jest Fletcherem, do diabła!

Josie wpatrywała się w niego, przestraszona tym gwałtownym wybuchem, jego naleganiem, natarczywością. Nigdy nie liczyła, że tak bardzo przejmie się dzieckiem.

- To może być ona - powiedziała po chwili.

- Płeć nie ma dla mnie znaczenia - poprawił się Sam.

- Ale nie chcę stać z boku, jak człowiek odrzucony.

- Co ty możesz o tym wiedzieć!

- Masz rację, niewiele. Nie musiałem tego w życiu doświadczać. Ale ciebie to nie ominęło, prawda? I chcesz podobny los zgotować naszemu dziecku?

- Nasze dziecko nigdy nie zazna podobnego losu! Nasze dziecko nie będzie musiało przechodzić przez to, co ja przeszłam! Nasze dziecko będzie miało matkę, która będzie go kochać i opiekować się nim przez resztę swego życia!

Sam wolno skinął głową. Na moment odwrócił wzrok, a potem znów spojrział na nią natarczywie.

- Otóż chcę, by nasze dziecko zaznało również miłości ojca - oświadczył cicho, lecz dobitnie. - Nie zechcesz pozostać w małżeństwie, w porządku, rozwiedziemy się, jeśli będziesz o tym przekonana - dodał.

- I czemu to miałoby służyć? - spytała z rozdartym sercem. Wyjść za Sama, a potem się z nim rozwieść? Nie, tego by nie zniosła!

- Dzięki temu on... albo ona... będzie dzieckiem z prawego łóżka. Udowodnimy jemu lub jej, że nam na nim zależało. I będę mieć wpływ na jego wychowanie.

- Nie zamierzałam odmawiać ci tego prawa.

- A więc nie odmawiaj mi szansy zostania prawowitym mężem i ojcem, proszę... - Pochylił się ku niej tak blisko, że widziała mięsień drgający na jego szczęce i przypomniała sobie szorstki dotyk jego zarostu na swej skórze, gdy się kochali. - Zrobię wszystko, byś była zadowolona - przekonywał. - Hattie od razu powinna oddać ci pensjonat. Zapisła go mnie tylko po to, bym tu przyjechał i dowiedział się o dziecku. Wyjdź za mnie, Josie, a ja ofiaruję ci pensjonat.

- To tak samo, jakbym wychodziła za mąż dla pieniędzy - powiedziała. - A ja tego nie zrobię, nigdy!

Sam chrząknął zniecierpliwiony.

- Nie wychodź za mnie dla pieniędzy. Po prostu wyjdź za mnie, ponieważ to właśnie powinnaś zrobić. Wyjdź za mnie z miłości do dziecka.

W przeszłości Josie marzyła o poślubieniu Sama. Była wówczas młoda, głupia i niewinna. Leżała w nocy z otwartymi oczami, wyobrażając sobie jego oświadczyzny.

Wyobrażała sobie, że uśmiecha się do niej, delikatnie ją dotyka i czeka z nadzieją w oczach. A potem, gdy wypowiadała sakramentalne „tak”, całował ją delikatnie w usta.

Rzeczywistość okazała się całkiem inna.

- Pomyśl o tym - powiedział na koniec i wyszedł.

Myślała o tym. Im dłużej myślała, tym bardziej dochodziła do wniosku, że złożył jej po prostu propozycję obopólnie korzystnego interesu. Tak jak powiedział, to było rozsądne, logiczne i właściwe posunięcie. Posunięcie najlepsze dla dziecka. Dla ich dziecka.

Josie trudno było znaleźć kontrargumenty. Szukała ich usilnie. Długo po wyjściu Sama siedziała w bibliotece, bijąc się z myślami. Wymyślała argumenty i wszelkie możliwe powody, dla których Sam mógł się mylić.

Ale Sam się nie mylił.

Ostatecznie musiała z bólem przyznać, że poślubienie Sama Fletchera było - ze względu na dziecko - rzeczywiście jedynym słusznym posunięciem.

RS



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

---

To nie mogło być zwyczajne wydarzenie.

Gdy po upływie pięciu albo piętnastu lat dziecko zapyta ich o ślub, Sam pragnął z ręką na sercu powiedzieć, że zrobili wszystko jak należało.

Oczywiście, Josie miała inne zdanie.

- Twoją matkę? - Była naprawdę wstrząśnięta, gdy już zgodziła się go poślubić, a on przedstawiał jej swoje plany.

- Chcesz zaprosić swoją matkę? - Najpierw spłonęła rumieńcem, a potem pobladła.

- Moja matka spodziewa się, że będzie na moim ślubie.

- odparł spokojnie. - Jak również moje ciotki, Caroline i Grace, oraz mój wuj Lloyd, kuzynki - Darcy, Catherine i Alexis i...

- Skoro tak, może poprosimy od razu całe miasto? - zakpiła.

- Bardzo proszę. - Sam zignorował jej sarkazm. - Możesz zaprosić, kogo tylko chcesz. Oczywiście, będzie także Benjamin i Cletus. Kogo jeszcze zamierzasz zaprosić?

Szczęka Josie drżała nerwowo. Odwróciła od niego głowę i patrzyła tępym wzrokiem przez okno kuchenne.

- Nikogo! - wybuchła. - Nie chcę nikogo! Dlaczego robisz z tego taką wielką sprawę?

- Ponieważ bierzemy ślub. - To wydawało mu się całkiem stosowne, ważne, a nawet konieczne.

- To nie jest normalny ślub! - parsknęła.

- Ale jednak ślub. - Wzruszył ramionami.

Josie nie wyglądała na przekonaną, ale zaniechała sporu. Po prostu odwróciła się i zajęła układaniem kompozycji kwiatowej do jednego z pokojów. Była to jedna z niewielu czynności, na jakie Sam jej pozwalał.

Nalegał, by przez cały dzień przebywała na dole i się nie przemęczała.

Wiedział doskonale, że wychodzi za niego za mąż wyłącznie z rozsądku. Wiedział, że go nie kochała...

Do diabła, po tym, co jej zrobił, pewnie go nawet nie lubiła!

Kazał zamówić firmę cateringową. I kwiaciarnię. I wiolonczelistkę. I piekarza. Chciał mieć przyjęcie z pełną pompą. Kwiaty, muzykę i weselny tort!

Josie powtarzała sobie, że oszalał. Właściwie dlaczego chciał zrobić z ich ślubu tak wielkie wydarzenie?

Nie minęło kilka godzin, jak wyraziła zgodę na zostanie jego żoną, a już zaczął wprowadzać w życie swe ślubne plany. Podziwiała jego niezwykłą umiejętność naginania całego świata do swojej woli. Ciekawa była, co powiedział matce i ciotkom o swym nagłym małżeństwie. Wiedziała jedno: pani Fletcher przyjeżdżała w środę.

- Reszta gości pojawi się dopiero w piątek - zakomunikował. - Możemy wziąć ślub w niedzielę wieczorem. Czy to ci odpowiada? - spytał, jakby jej zdanie miało tu jakiegokolwiek znaczenie.

Nie! - chciała wykrzyknąć. Stanowczo to nie było w porządku.

Podjęła już jednak decyzję, że za niego wyjdzie. Wyraziła zgodę. Skinęła więc posłusznie głową.

Czuła się niezręcznie i głupio zarazem, uczestnicząc w przygotowaniach do tego przyjęcia. Ale mimo zażenowania zdawała sobie

sprawę, że Sam ofiarowuje jej wspomnienia. Pewnego dnia wspomnienia będą wszystkim, co jej pozostanie.

Starła się odsunąć od siebie te myśli. Powoli odzyskiwała równowagę. Poddała się, choć bardzo niechętnie, i pozwoliła Samowi sprawować nad sobą opiekę.

- Widzisz? - powiedział pewnego popołudnia Sam z odcieniem triumfu w głosie, gdy nie ruszając się z fotela, udzieliła gościom informacji o wycieczkach po okolicy. - Potrafisz być kobietą niepracującą!

W odpowiedzi pokazała mu język.

Obawiała się jednak, że nie będzie w stanie z podniesioną głową spojrzeć w twarz jego matce. Jakże mogła udawać przed tą kobietą, że jej syn bierze zwykły ślub?

- To nie jest żaden „zwykły” ślub - przeciwstawił się Sam, gdy mu o tym wspomniała. - To nasz ślub. Nonszalancja z twojej strony wcale nie byłaby mile widziana.

- Ona mnie znienawidzi - upierała się Josie. - Pomyśli, że schwytałam cię w pułapkę.

- Owszem, była trochę zaskoczona nagłością mojej decyzji - przyznał. - Ale moja matka doskonale wie, co to jest namiętność. Była bardzo zakochana w moim ojcu.

- To nie to samo!

- Ale ona o tym nie wie.

Takie wytłumaczenie nie rozwiało obaw Josie. A przecież naprawdę kochała Sama... Tylko że on o tym nie miał pojęcia! I z pewnością nie odwzajemniał jej miłości.

Z drzeniem w sercu oczekiwała w środę wieczorem przyjazdu pani Fletcher. Sam wyjechał po nią na lotnisko. Zastanawiała się nawet, czy nie powinna tam z nim pojechać. Zdecydowała się jednak pozostać w domu, ponieważ spodziewali się również innych gości, choć Sam cały czas powtarzał, że powinna na ten wyjątkowy czas zamknąć pensjonat. Zdecydowanie zaprotestowała, i tego właśnie dnia miały pojawić się trzy pary małżeńskie.

Nie wiedziała, co Sam w drodze z lotniska powiedział matce. Z pewnością skłamał, tego była pewna.

Gdyby powiedział prawdę, na pewno pani Fletcher nie uśmiechnęłaby się do niej tak czule, gdy je sobie przedstawił. Próbowła odwzajemnić ten ciepły uśmiech, ale czuła się w tej roli ogromnie niezręcznie i fałszywie.

- Oto Josie - zakomunikował Sam, po czym posłał narzeczonej krzepiący uśmiech. - A to moja mama, Amelia.

Josie przyzwyczajona była do witania gości i nigdy nie miała z tym problemów. Teraz jednak czuła się całkiem bezradna i język uwiązł jej w gardle.

- Cieszę się, że cię poznałam, Josie - odezwała się swobodnie Amelia, po czym przyciągnęła ją do siebie i delikatnie pocałowała w policzek. A potem, nadal trzymając przyszlą synową za rękę, zwróciła się do Sama z uśmiechem: - Teraz już wiem, co znaczy zapis: Josephine Nolan. I rozumiem, dlaczego Hattie ją tobie zostawiła.

- Moja matka pierwsza przeczytała testament - wyjaśnił Sam. - I była trochę zdziwiona.

To całkiem zrozumiałe, pomyślała Josie, pragnąc zapaść się pod ziemię. Była wdzięczna matce Sama, że patrzyła jej w twarz, zamiast zerkać na jej wielki brzuch. Sam uprzedził ją, że jego matka to niezwykle taktowna osoba. Josie przyznawała mu rację.

- Zadzwoń teraz do swojej sekretarki albo pozawracaj głowę celnikom - zwróciła się do syna Amelia. - Pozwól mi poznać lepiej Josie. Idź już, nie ugryzę jej przecież - dodała, widząc jego wahanie.

Josie zdobyła się na uśmiech.

- Damy sobie radę - zapewniła go, modląc się w duchu, by to była prawda.

Amelia rzeczywiście była niezwykle taktowna. Nie powiedziała nic i nie zadała żadnego pytania, które mogłoby wprowadzić Josie w zakłopotanie. Zamiast tego, wykazała szczerze zainteresowanie pensjonatem, pozwalając się po nim oprowadzić i dając Josie możliwość zaprezentowania swych kompetencji. A gdy przyszła synowa się trochę rozluźniła, zapytała o przygotowania do wesela.

Josie szczegółowo zrelacjonowała, co przygotowuje firma cateringowa, jakie zamówiła kwiaty, muzykę oraz z ilu warstw będzie składać się tort. Gdy skończyła, pomyślała z ulgą, że dzielnie się spisała.

Wtedy Amelia zapytała znienacka:

- Czy mogę zobaczyć twoją suknię?

- Suknię...? - Josie zakrztusiła się z wrażenia, a krew odpłynęła jej z twarzy.

Amelia przez chwilę wyglądała na równie przerażoną jak Josie. Ale zaraz miły uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Zapomniałaś o sukni - powiedziała takim tonem, jakby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Czyżby to było freudowskie zapomnienie? Ale gdzie, na Boga, znalazłaby suknię pasującą na słońca?! Podświadomie o tym wiedziała i dlatego nawet nie szukała sukni.

- Nie potrzebuję niczego specjalnego - powiedziała szybko. - Zresztą żadna suknia ślubna by na mnie nie pasowała. Trudno mnie nazwać zwykłą panną młodą. - Zerknęła w dół na swój wydatny brzuch, a potem z krzywym uśmiechem podniosła oczy na matkę Sama.

- Nie ma zwyczajnych panien młodych – powiedziała Amelia. - Wszystkie są specjalne. I każda zasługuje na wyjątkową suknię.

To była najpiękniejsza suknia, jaką Josie kiedykolwiek widziała.

To była jej suknia!

Uszyła ją dla niej niezwykle utalentowana matka Sama podczas tych kilku dni, jakie pozostały do wesela. Josie wprost nie mogła uwierzyć i za każdym razem, gdy spoglądała na wiszącą w szafie suknię, musiała uszczypnąć się w rękę.

- Gotowe - powiedziała Amelia, trzymając w ustach pełno szpilek. Siedziała na podłodze, z niezwykłą satysfakcją przyglądając się Josie, która stała przed lustrem urzeczona własnym widokiem w tej cudownej kreacji. - Jak sądzisz, może być?

- Jest prześliczna! - zachwyciła się szczerze Josie. Do tej pory była przekonana, że weźmie ślub w starej sukience w kwiatki albo w ciężowych spodniach z szeroką górą. Ale Amelia wybiła jej to z głowy.

- Jedziemy z Josie do sklepu z materiałami - zakomunikowała Samowi w środę po południu.

- Josie powinna się oszczędzać. - Sam zmarszczył brwi.

- Oczywiście - zapewniła go matka. - To ja wykonam całą pracę.

Jadąc z oszołomioną Josie do sklepu, Amelia głośno zastanawiała się nad fasonem sukni.

- W stylu empire, myślę - powiedziała. - Jak to miło, że Jane Austen jest teraz na fali. Tak, zebrana pod biustem... Można dodatkowo przymarszczyć z przodu, jeśli to będzie potrzebne... - Odwróciła głowę, by ocenić biust Josie. - Dekolt w karo - zawyrokowała. - Długie rękawy albo bufki. Co wolisz?

Josie nigdy nie rozważała tej kwestii, toteż pozostawiła inicjatywę przyszłej teściowej.

- Długie - postanowiła Amelia. - Chyba że nie starczy mi czasu.

Wtedy poprzestaniemy na krótkich.

Potem wybrała kolor materiału.

- Kość słoniowa? - odważyła się zasugerować Josie. Nie czuła się wystarczająco dziewiczo na śnieżną biel.

- Kość słoniowa! - Amelia z aprobatą skinęła głową. - Dobrze wiesz, w czym ci do twarzy.

- Czy naprawdę zdołasz uszyć tę suknię w trzy dni? - spytała Josie, gdy obładowane zakupami wróciły do domu.

- Cóż, nie będzie to suknia od wielkiego krawca - powiedziała skromnie Amelia. - Ale myślę, że się uda.

W ten niedzielny poranek Amelia z podziwem patrzyła na stojącą przed lustrem młodą kobietę w sukni koloru kości słoniowej, ze stanikiem z koronki i długimi, koronkowymi rękawami. Czekała na werdykt.

- Podoba ci się? - spytała w końcu, ponieważ Josie najwyraźniej zaniemówiła z wrażenia.

- Och, tak! - Josie posłała swej przyszłej teściowej promienny uśmiech.

Sam nie mógł pojąć, dlaczego jest taki zdenerwowany. Ostatecznie to tylko ślub. Robią z Josie jedynie to, co należało zrobić ze względu na dobro dziecka. Wydarzenie było ważne - ale trudno je nazwać trzęsieniem ziemi.

Dlaczego więc tak się trząś?

Wyciągnął do przodu ręce i przyglądał się delikatnemu drzeniu palców. Sięgnął do góry i poluzował krawat. Codziennie nosił krawat i do tej pory żaden go nie dusił...

Wiolonczelistka grała jakąś poważną melodię. Mimo że Sam znał dźwięki muzyki, które mają zapowiedzieć ukazanie się Josie, co chwila nerwowo zerkał na schody. Miał nadzieję, że zejdzie na dół bezpiecznie.

- Musi zrobić odpowiednie wejście - nalegała matka.

- Zejdzie na dół po schodach.

- Nie powinna ani wchodzić, ani schodzić - perswadował. - Nic z tego - dodał stanowczo, zerkając na Josie, na wypadek gdyby i jej przyszedł ten sam głupi pomysł do głowy.

- Ona nie będzie na nie wchodzić - odezwała się Amelia.

- Ty ją tam wniesiesz.

Na moment Sam osłupiał, ale dostrzegłszy błysk podniecenia w oczach Josie, podjął decyzję.

Przeszedł przez pokój, chwycił ją w ramiona i uniósł w powietrze.

- Nie możesz! - zaprotestowała. - Nie jestem jeszcze ubrana...



- Czyżby? - powiedział zmysłowym głosem i popatrzył z góry na jej skromne spodnie i marszczoną bluzkę.

W odpowiedzi uśmiechnęła się i lekko dotknęła jego ramienia.

- Wiesz, co mam na myśli - odparła. - Moja suknia!

- Przyniosę ci suknię na górę - zaofiarowała się Amelia.

- Sam nie może zobaczyć cię w ślubnej sukni przed ślubem.

Tak jakby chodziło tu o tradycyjny ślub, pomyślał Sam.

W tym momencie wiolonczelistka przestała grać, a na podeście schodów pojawił się Benjamin. Przyglądał się zebranych na dole gościom - krewnym Sama, przyjaciołom Josie, jej zastępczym rodzicom, u których mieszkała, nim przeniosła się do Hattie. Potem przeniósł wzrok na Sama. W pokoju zapanowała cisza. Benjamin skinął głową.

Wiolonczelistka przewróciła stronę i zaczęła grać uroczystą melodię.

Stojąc przy kominku, Sam obserwował, jak Josie, wsparta na ramieniu Benjamin, wolno schodzi ze schodów. Pomyślał, że wygląda jak anioł zstępujący z nieba. Jak anioł skrzyżowany z ziemską boginią, której wspaniałe macierzyńskie kształty podkreślała miękka, jedwabna satyna w kolorze kości słoniowej, ramiona zaś i piersi osłaniała niezwykle delikatna koronka. Długie, ciemne włosy miała rozpuszczone i udekorowane wianuszkiem z kwiatów pomarańczy. Jej zarumieniona twarz przybrała wyraz poważny i skupiony. Wyglądała promiennie - tak, jak powinna wyglądać panna młoda.

Gdyby tylko się uśmiechnęła... Pragnął, by się uśmiechnęła.

Wyciągnął do niej rękę, nim zdążyła puścić ramię Benjamin.

Usłyszał czyjeś szepty, czyjeś chichoty. Nie zareagował. Nic go to nie obchodziło. Widział tylko Josie.

Przypomniął sobie tę noc, gdy zapukał do jej pokoju. Pamiętał jej zalaną łzami twarz... Z tego, co wydarzyło się później, pozostały mu w pamięci tylko niejasne fragmenty. Pieszczoty, pocałunki i namiętność. Ale to wystarczyło.

Pamiętał jej pocałunki i jej uśmiech.

Uśmiechnij się, zachęcał ją w duchu. Uśmiechnij się dla mnie!

Gdy pastor zaczął mówić, Sam kątem oka zauważył, że Josie pobladła. Poczował, jak zaciska palce na delikatnej wełnie jego marynarki. Kciukiem pogładził jej palce; drżały, aż do chwili gdy zacisnął wokół nich dłoń.

- Czy ty, Samuelu, bierzesz Josephine...

Słowa pastora płynęły ponad nim. Miłość, wierność, uczciwość. W bogactwie i w biedzie. Aż do śmierci... Potem pastor spojrział na niego i zawiesił głos.

- Tak - powiedział Sam.

- Czy ty, Josephine, bierzesz Samuela za męża... Popatrzył na ich splecione dłonie, popatrzył na jej brzuch - powód, dla którego tu się znaleźli... Zastanawiał się, jak zrozumiała słowa pastora.

- Tak-powiedziała.

- Poproszę o obrączki - podjął pastor.

Sam uniósł głowę. Josie również. Patrzyli na siebie z przerażeniem. Obydwoje myśleli o tym samym: „O mój Boże, zapomnieliśmy o obrączkach!”.

Dokładnie w tym momencie Cletus stuknął Sama w ramię i wcisnął mu do ręki obrączkę.

Sam popatrzył na niego zaskoczony.

- Daję ci tę obrączkę jako symbol... - podjął pastor i zerknął na niego z wyczekiwaniem.

Sam niezdarnym ruchem wsunął obrączkę na palec Josie. Josie spojrzała na obrączkę, a potem na Sama.

- To pierścionek Hattie - szepnęła i uśmiechnęła się do niego.

Dobrze, że mieli Benjamina, Cletusa i Amelię, pomyślała Josie. Gdyby całkiem sami mieli zorganizować ten ślub, narobili by niezłego bigosu.

Ale przy pomocy przyjaciół i krewnych - ślub wypadł doskonale. Znalazła się nawet obrączka dla Sama.

Amelia w odpowiednim momencie wcisnęła Josie do ręki gładką, złotą obrączkę. Później okazało się, że była to ta sama obrączka, którą ofiarowała ojcu Sama.

- Mam nadzieję, że nie masz mi za złe? - spytała później Amelia, gdy po obiedzie słuchali długiego toastu wygłaszanego przez wuja Sama na cześć młodej pary.

- Oczywiście, że nie - odparła Josie ze szczerym uśmiechem. Bardzo polubiła swoją teściową. I nie chciałyby stracić jej przyjaźni, gdy rozstanie się z Samem...

- Sam i tak w końcu by ją otrzymał - ciągnęła Amelia. - Wspaniale, że mógł ją dostać w dniu ślubu. Chyba że... wolałabyś dać mu własną?

- Nie... - Josie potrząsnęła głową. - Tak jest lepiej. Gdy się rozstaną, nie będzie musiał zwracać jej obrączki...

Na myśl o zakończeniu małżeństwa, które dopiero co zawarli, ścisnęło ją w gardle. Zamrugnęła powiekami, hamując łzy i odwróciła

głowę od Amelii. Po chwili, gdy zdołała przywołać uśmiech, poczuła skurcz. Uśmiech zamarł jej na twarzy.

Od tamtej nocy, gdy Sam zawiózł ją do szpitala, miała kilka skurczów. Nie były chyba silniejsze niż ten - ale przezornie położyła rękę na brzuchu.

- Dobrze się czujesz? - Głos Sama tuż przy jej uchu był napięty. Dłuższą chwilę patrzył na nią badawczo, aż opuściła wzrok na spowity satyną brzuch, gdzie wierciło się zwinięte w kłębek ich dziecko. - Powiedziałabyś, gdyby się coś działo, prawda?

- Tak.

- I życzę wam wielu lat szczęścia! - zakończył wujek Sama, podnosząc kieliszek z szampanem.

Sam, Amelia i reszta gości wychylili kieliszki do dna. Josie sączyła sok winogronowy, pragnąc, by życzenie wuja się ziściło. Czuła się jak oszustka, wprowadzająca wszystkich w błąd.

- Czas pokroić tort! - zakomunikowała radośnie Amelia. Gdy krojono tort, Josie poczuła kolejny skurcz. Miała nadzieję, że nie dała tego po sobie poznać. Uśmiechała się słodko, podczas gdy przyjaciel Cletusa, Ambrose, robił im zdjęcia.

Ale to znów się stało. Tym razem ból promieniował od pleców, rozchodził się po całym ciele, ściskając brzuch. Josie bezwiednie wciągnęła powietrze. Upuściła kawałek ciasta, podniosła go i odłożyła na talerzyk. Sam chwycił jej dłoń.

- Proszę, bawcie się dalej - zwrócił się do zgromadzonych gości. - Zabieram pannę młodą do łóżka.

Josie zaczerwieniła się aż po czubek głowy. Wszyscy najpierw zachichotali, a potem wybuchnęli głośnym śmiechem.

- Nie możemy teraz wyjść - szepnęła mu do ucha.

- Albo pójdziesz teraz do łóżka, albo potem od razu do szpitala - odparł Sam, patrząc jej prosto w oczy. - Wybór należy do ciebie.

Westchnęła i skierowała się w stronę biblioteki, gdzie sypiała, odkąd Sam przywiózł ją ze szpitala.

- Nie tam.

Nim zdążyła powiedzieć słowo, wziął ją na ręce i zaczął wchodzić po schodach.

- Dokąd mnie zabierasz? - spytała zdziwiona. - Co robisz?

- Zabieram cię na miodowy miesiąc - powiedział Sam.

- Miodowy miesiąc?

- Do „kwatery kapitana”. - Poczekał, aż zniknęli za zakrętem schodów w drodze na drugie piętro i dodał: - Wydaje mi się to odpowiednie miejsce.

„Kwatera kapitana”... Pokój, w którym się kochali. Pokój, gdzie poczęte zostało ich dziecko.

Josie zbierało się na płacz. Bezwładnie zwisała w ramionach Sama, aż znaleźli się na drugim piętrze. Tu poprosiła, by ją puścił.

- Już jesteśmy na miejscu. Nie musisz mnie nieść. Zawahał się na moment, patrząc z góry w jej oczy. Miała nadzieję, że nie wyczyta w nich bólu.

Starła się patrzeć na niego obojętnym wzrokiem, jakby czuła się spokojnie i pewnie. Musiała dobrze wykonać swoje zadanie, ponieważ wolno postawił ją na podłodze.

Otworzyła drzwi i weszła do pokoju. Starła się nie patrzeć na łóżko i usiadła na bujanym fotelu.

- Dziękuję - odezwała się niepewnie. - Czuję się już dobrze. Możesz wrócić do gości.

Sam zerknął na nią kątem oka.

- Zostaję tutaj - powiedział stanowczo. - Zrobię to, co zapowiedziałem.

Wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami, przełknęła ślinę.

- To znaczy? - spytała.

- To znaczy, zabieram cię do łóżka.

RS

## ROZDZIAŁ ÓSMY

---

Zaproponować Josie, by spędziła z nim noc - to nie był najmądrzejszy pomysł.

Właściwie było to z jego strony bardzo głupie.

Może oszołomił go szampan, tak hojnie rozlewany przez wuja Lloyd'a, albo wzruszyły łzy, które dostrzegł w oczach matki, gdy całowała Josie, mówiąc, że jest szczęśliwa... Kto wie?

A może po prostu wpłynął na jego nastrój widok samej Josie, która stała dzielnie wyprostowana i uśmiechnięta, mimo że ledwie trzymała się na nogach.

W każdym razie poczuł rozpaczliwą chęć wzięcia jej w ramiona i zanieśienia w jakieś ustronne miejsce, gdzie mogliby zostać sami...

I tak zrobił.

Gdy już znalazł się z nią sam na sam w pokoju, gdy zamknął drzwi, odgradzając się od reszty świata, gdy zerknął na jej długie nogi wystające spod satynowej sukni, na jej zarumienione policzki i niezgłębione oczy - nie chciał już stąd wyjść.

Oparty plecami o drzwi modlił się, by Josie go nie wyrzuciła.

Josie patrzyła nań wyczekująco. Gdy się nie poruszył, zauważył, że przełknęła ślinę.

- Zabierasz mnie do łóżka? - spytała zniżonym głosem.

- Jesteśmy przecież małżeństwem - bąknął, a potem dodał bardziej stanowczo: - Nie mogę stąd wyjść, prawda? Co ludzie sobie pomyślą? Pan

młody nie może tak po prostu wyjść i pozwolić, by panna młoda samotnie spędziła poślubną noc!

- Doprawdy? - Wyglądało na to, że Josie się przez chwilę zastanawia. Wreszcie wzruszyła ramionami i podniosła oczy na Sama. - Być może, nie - oświadczyła.

Na te słowa Sam znowu zaczął oddychać. Odepchnął się od drzwi i postąpił krok w jej kierunku.

- A więc... skoro zostaje, pozwól, że ci pomogę... - Chrząknął, ponieważ poczuł nagłą suchość w gardle. - Zdjąć suknię - dokończył.

Josie spojrzała na swoją ślubną suknię. Na policzkach czuła rumieńce.

- To znaczy... - Do diabła, mówił takim głosem, jakby z powrotem miał czternaście lat! - Nie widziałem cię... przedtem... bez ...

- Chyba nie... - Wyciągnęła do niego rękę.

Chwytał ją w ramiona, pociągnął w stronę łóżka i odwrócił plecami do siebie. Gdy rozpinając haftki przy dekolcie sukni, musnął palcami jej skórę, poczuł, że przeszywa ją dreszcz. On czuł to samo - ten sam dreszcz głodu, napiętności, dreszcz, który zdusił z wysiłkiem.

Rozpiął suwak u jej sukni i obnażył plecy; potem zsunął suknię z jej ramion. Stał tak blisko przy niej, że owionął go zapach bzu i cytryny. Jej zapach. Wdychał go z lubością, przypominając sobie, co czuł wówczas, gdy zatapiał twarz w jej włosach. Pochylił się ku niej i głębiej odetchnął.

Zadrżała i roześmiała się krótkim, zażenowanym śmiechem.

- To... to łaskocze. - Odwróciła głowę i spojrzała na niego z uśmiechem.

Pochylił się ku niej i skubnął ją w ucho.



- Sam! - Usiłowała się odsunąć.

Chwyił ją obiema rękami w pasie i przewrócił na łóżko, mocno się do niej przytulając. Oddechem owiewał jej szyję, potem dotykał jej ustami, wreszcie przycisnął ręce do jej wypukłego brzucha.

Nagle Josie zeszywniała. On także znieruchomiał, aż poczuł, że skurcz mija. Gdy było po wszystkim, wyraźnie odprężona odsunęła się lekko od niego.

- Skurcz - powiedział. Nie było to pytanie. W odpowiedzi skinęła głową.

Nagle poczuł uderzenie, prosto w rękę.

- Co to?

- Dziecko. - W jej głosie słychać było cień uśmiechu.

Dziecko? Przełknął ślinę. Ich dziecko! Ich dziecko kopnęło? Nie rozumiał, dlaczego był tak zdumiony. Wiedział przecież, że dzieci poruszają się w brzuchu matki... Ale kopnęło jego!

- O Boże! - westchnął cicho.

- Jesteś zdziwiony? - Josie odwróciła głowę.

- Nigdy... nie myślałem... - Poczuł się jak skończony dureń. - Nigdy przedtem o tym nie pomyślałem. Czy ono... często kopie?

- Czasami nawet cały dzień. - Wzruszyła lekko ramionami. - A czasami przez całą noc.

- Jak wtedy śpisz? - Przycisnął otwartą dłoń do jej brzucha i znów poczuł lekkie uderzenie.

- Wtedy nie śpię.

Powiedziała to zwyczajnym tonem. Nigdy się nie skarżyła. Nigdy nie słyszał, by Josie się skarżyła. Ani z powodu ciąży, ani z powodu tego, że Hattie nie zostawiła jej pensjonatu, ani z żadnego innego powodu.

Przyciągnął ją bliżej do siebie i pocałował w ramię. Miała miękką, gładką skórę. Chciał... Jęknął głośno i się odsunął.

- Pozwól, że pomogę ci się rozebrać - odezwał się napiętym głosem, odwracając wzrok.

To było bez znaczenia, czego pragnął. I tak nie mógł tego mieć.

Josie nieporadnie wstała z łóżka; Sam pomógł jej zdjąć sukienkę. Postarał się zrobić to bezosobowo. Nie pozwolił palcom, by zbyt długo ślizgały się po jej skórze. Nie pozwolił swej dłoni przesunąć się niżej i usiłował nie dotykać jej dłużej, niż to było konieczne. A właściwie w ogóle starał się jej nie dotykać.

- Z resztą dam sobie radę - powiedziała, wyjmując mu suknię z rąk i udając się do łazienki.

Sam wziął głęboki oddech. Nie mógł jej mieć. Nie powinien jej pragnąć. Powtarzał sobie, że powinien posłać sobie na podłodze i cieszyć się, że w ogóle może tu zostać.

Ale gdy wróciła do pokoju, zdjęła szlafrok i wślizgnęła się do ogromnego łóża, pożądanie, które dusił w sobie tak długo, wróciło z bolesną mocą.

- Dziękuję ci, Sam - powiedziała. - Za wszystko.

- Nie masz mi za co dziękować - odparł chrapliwym głosem.

- Za dzisiaj - dodała.

Zamknął oczy. Dzisiaj się jeszcze nie skończyło.

To była jedna z najbardziej wzruszających chwil w życiu Josie. Mimo wszystko, w obecności pastora, swojej matki i przyjaciół, Sam złożył jej ślubną obietnicę. Żadnym gestem ani słowem nie zdradził, że odgrywali komedię. Goście na pewno byli przekonani, że w „kwaterze kapitana” padli sobie w objęcia.

Nikt nie dałby wiary, że pan młody spędzi tę noc na podłodze.

Josie przewróciła się na bok, żeby na niego spojrzeć. Leżał na plecach z rękami pod głową. Wiedziała, że nie śpi.

- Sam...?

Znieruchomiał, nawet przestał oddychać.

- Sam? - powtórzyła, przesuwając się na brzeg łóżka.

- Słucham? - Uniósł się do pozycji siedzącej i w świetle księżyca rzucił jej zaintrygowane spojrzenie. - Co się dzieje? Masz skurcze?

- Nie... - Zawahała się. - Zastanawiam się, czy wygodnie ci tam na podłodze...? Może chciałbyś... - Gdy przez dłuższą chwilę milczał, zażenowana odwróciła się do niego plecami i mruknęła: - Zresztą nic ważnego.

Gdy usłyszała, że wstaje, najpierw pomyślała, że zamierza wyjść z pokoju. Ale po chwili poczuła rękę na swoim ramieniu. Pomyślała, że wyobraźnia płata jej figła. W następnej chwili poczuła, że łóżko ugina się lekko, a Sam wsuwa się pod kołdrę tuż obok niej.

Leżeli przytuleni jak kochankowie. Sam obejmował ją ramieniem. Chwyliła jego dłoń i przyciągnęła do brzucha.

- Nie mogę... - wyszeptała zbolalym głosem. - Lekarz powiedział...

- Wiem. - Zacisnął palce wokół jej palców, a potem odwrócił jej dłoń i palce ich splótł się jeszcze mocniej. - Spij, kochanie... Wiem.

Był pewien, że umrze z powodu frustracji. Był pewien, że cierpi na śmiertelną chorobę wywołaną seksualnym podnieceniem, które z powodu stałej obecności Josie Nolan - nie, Josie Fletcher - ciągle narastało.

Powinien trzymać się od niej z dala. Ale tego zrobić nie mógł. Nawet gdy jego krewni się rozjechali, a matka wróciła do Nowego Jorku, nie potrafił spać w „pokoju Colemana”, pozostawiając Josie samą w bibliotece.

Wmawiał sobie, że robi tak dlatego, by być w pobliżu niej, gdy będzie czegoś potrzebować w nocy. A poza tym, co by sobie pomyśleli goście, gdyby go zobaczyli rano wychodzącego z „pokoju Colemana”! Świeżo poślubieni małżonkowie nie spędzają nocy osobno.

Zostawał z nią nawet w ciągu dnia. Początkowo chodził do „pokoju Colemana”, aby załatwić sprawy przekazane mu przez Elinor. Ale gdy tylko mógł, prznosił telefon i całą papierkową robotę na dół, by móc „mieć Josie na oku”. Musiał dopilnować, by się nie przepracowywała. Josie, ku jego strapieniu, uważała, że nadal może wszystko robić. Sam zatrudnił więc dwie studentki do codziennego sprzątnięcia pokoi i prania.

- Nie jestem pewna, czy dobrze wykonują swoją pracę - skarżyła się pewnego dnia Josie. - Nie mogę ich nawet pilnować.

- Zrobię to za ciebie - odparł.

- Skąd mogę wiedzieć, czy znasz się na tej robocie?

- Do licha, Josie, potrafię ocenić dobrze posłane łóżko. Poznałaś moją matkę. Czy sądzisz, że mnie tego nie nauczyła?

- W porządku. - Josie poddała się, ale gdy już wychodził z pokoju, zawołała: - A co z twoją pracą? Jak sobie dasz radę, poświęcając czas pensjonatowi?

- Dam sobie radę - zapewnił.

- Może mogłabym ci pomóc?

Patrzyła na niego z taką nadzieją, że w geście rezygnacji wzruszył ramionami i powiedział: - Być może.

Nie liczył jednak, że Josie tak bardzo zainteresuje się produktami, które importował i ludźmi, którzy je wytwarzali. Zadawała mu mnóstwo wnikliwych pytań i z prawdziwym zainteresowaniem słuchała, gdy wprowadzał ją w tajniki biznesu, opowiadał o rzemieślnikach i artystach, których poznał w trakcie swoich podróży.

To ją naprawdę zajmowało. Dzięki temu mogła nie myśleć o rzeczach, których nie mogła robić, ponieważ została przykuta do biblioteki. Również Samowi sprawiało to przyjemność. Lubił patrzeć w jej oczy błyszczące entuzjazmem. Podobały mu się pytania, które stawiała i jej nienasycona ciekawość.

Złapał się nawet na tym, że chciał jej powiedzieć „mogę ci to pokazać”, gdy opowiadał o pewnej tajskiej wiosce, na którą trafił w poszukiwaniu szczególnie pięknych tkanin. Ale w porę ugryzł się w język.

Mimo że nie wypowiedział tych słów, naprawdę chciał ją tam zabrać. Chciał pokazać jej maleńkie sklepiki w Hongkongu i handlarza dzieł sztuki z Bali, który wyszukiwał dla niego wyjątkowo piękne okazy. I tęsknił za wyrazem jej twarzy, gdy to wszystko będzie jej pokazywać.

Tak się jednak nie mogło stać. Nigdy jej tam nie zabierze... Ich małżeństwo potrwa kilka miesięcy... Chciał tylko dać dziecku swoje nazwisko, a Josie podporę moralną w tym trudnym okresie. Dawał jej bezpieczną finansową przyszłość.

Ale nie na zawsze...

To była tylko kwestia czasu i dobrze o tym wiedziała. Będzie z Samem tygodnie, może miesiące - i na tym koniec.

Pragnęła jedynie, by także jej serce to zrozumiało.

Za każdym razem, gdy Sam wchodził do pokoju, jej serce zaczynało bić szybciej. I częściej się uśmiechała - właściwie za każdym razem, gdy w nocnych ciemnościach otaczał ją ramionami. W jego objęciach jej ciało stawało się miękkie i podatne... Nawet umysł zaczynał ją zdradzać; zaczynała wierzyć, że Sam kocha ją tak samo, jak ona kochała jego.

To była głupota. Szaleństwo. Nieprawdopodobieństwo.

A jednak nie mogła przestać tak myśleć.

Zadawała sobie pytanie, dlaczego skoro jej nie kochał, przychodził każdej nocy i trzymał ją w ramionach. I odpowiadała sobie, że czuł taki obowiązek. Chciał być pod ręką, gdy trzeba będzie zawieźć ją do szpitala. Ale przecież mógł przynieść tu polowe łóżko, perswadowała sobie. Albo mógł dać jej telefon komórkowy, by go powiadomiła w razie potrzeby. Wszystko to mógł zrobić - ale nie chciał.

Mógł krótko zbywać jej pytania o importowane towary. Mógł odpowiadać monosylabami - zamiast siadać na krześle i snuć długie historie o Singapurze, Hokkaido i Bali.

Mógł - ale tego nie robił.

I dlatego zaczęła łudzić się nadzieją.

Jeśli go w ogóle nie obchodziła, to dlaczego tak bardzo się zdenerwował, gdy pewnego popołudnia zastał ją w kuchni popijającą kawę w towarzystwie Kurta? Stał jak wryty w drzwiach, a jego naturalnie radosna twarz przybrała ponury wyraz.

- Co on, u diabła, tu robi?

Josie, która z uśmiechem przysłuchiwała się jednej z przydługich opowieści Kurta z życia jego parafii, zamrugała oczami.

- Odwiedza mnie - odparła.

- Przyszedłem poprosić Josie, aby przepisała mi coś na maszynie - wyjaśnił Kurt, jak zawsze do bólu szczerzy.

- Josie tego nie może zrobić.

Kurt popatrzył nań szeroko otwartymi oczami.

- Ale... właśnie się zgodziła...

- Oddaj mu to! - powiedział Sam autorytatywnie, wskazując na papiery, które Josie trzymała w ręku.

- To nie zabierze mi dużo czasu - zaprotestowała. Właściwie wcale nie miała ochoty przepisywać tekstu dla Kurta. Nie widziała go od miesiąca, od czasu gdy po raz ostatni coś dla niego przepisywała. Ale z niezrozumiałego powodu postanowiła przeciwstawić się Samowi. Czyżby jednak był zazdrosny...?

- Oddaj to - powtórzył Sam przez zaciśnięte zęby. Wyglądał na człowieka zmęczonego i ogromnie zirytowanego.

- Przepraszam cię. - Oddała kartki Kurtowi. - Przypuszczam, że nie będę mieć teraz na to czasu.

Kurt przenosił wzrok z Sama na Josie i z powrotem, wyraźnie zdumiony napięciem pomiędzy zazwyczaj spokojną Josie i mężczyzną, którego dopiero co poślubiła.

- Ale ty przecież teraz nic nie robisz - powiedział zaintrygowany. Nie były to stosowne słowa.

Rozzłoszczony Sam już w połowie przemierzył pokój, nim Josie zdążyła wstać z krzesła i zagrozić mu drogę.

- Są pewne prace, które wykonuję dla Sama - zwróciła się do Kurta. -  
Mówiłam ci już, że dla niego pracuję...

- Tak, ale...

- To bardzo miło, że wpadłeś, ale naprawdę musimy już zabrać się do pracy - ciągnęła, popychając Kurta w stronę drzwi.

- Ledwie przyszedłem - zaprotestował. Trzymał kartki w ręce i wyglądał tak, jakby zamierzał je niby przypadkiem zostawić.

- Nie zapomnij swojego tekstu - przypomniała mu stanowczo Josie, postępując za nim w kierunku wyjścia.

- Nie zapomnij! - odezwał się Sam zza pleców Josie.

Kurt znów ze zdziwieniem popatrzył na nich oboje, a potem uśmiechnął się po raz ostatni do Josie pełnym nadziei uśmiechem.

- Zobaczymy się wkrótce? - spytał.

- Oczywiście. - Otworzyła drzwi i niemal wypchnęła go na zewnątrz.

- Nigdy w życiu! - powiedział Sam.

Nigdy dotąd nie miał takiej ochoty rozerwać kogoś na strzępy. Ale właściwie dlaczego? - pytał sam siebie. Przecież na niczym ich nie przyłapał. Siedzieli sobie w kuchni i rozmawiali. To prawda, ale Josie zamierzała przepisać tekst Kurta. To go zdenerwowało. Zamierzała z powrotem włączyć go w swoje życie. Znów się z nim spotykać, rozmawiać. A potem... O, nie! Nie pozwoli, by sprawy zaszły tak daleko! Do diabła, Josie była jego żoną!

Stał na skraju urwiska z rękami w kieszeniach dżinsów. Pochylił ramiona i ze złością patrzył na miasto.

- Chwilowo - powiedział na głos. - Tylko chwilowo... A właściwie, co go to obchodziło? Nie obchodziło go.



A może jednak...? Oczywiście, że nie. Trudno nazwać jego małżeństwo związkiem z miłości. Josie nie kochała go przecież bardziej niż on ją... To frustracja sprawiła, że pałał ochotą rzucenia się Kurtowi Mastersowi do gardła. Seksualna frustracja. Potrzebował kobiety. I miał kobietę. Miał żonę. Na tym właśnie polegał problem.

RS

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

---

Izzy była ostatnią osobą, którą spodziewał się usłyszeć, gdy pewnego wieczoru podniósł słuchawkę.

- Tu pensjonat „Opoka” - powiedział bardzo oficjalnym tonem.

- Sam? - W jej głosie brzmiało niedowierzanie i rozbawienie. A potem chichot. - To naprawdę ty?

- Izzy?

- To ja. Jak się masz? Od tygodni próbuję się do ciebie dodzwonić. Wreszcie zatelefonowałam do twojej matki... - Dramatyczna pauza. - Powiedziała mi, że jesteś w Dubuque.

- Jestem w Dubuque - potwierdził. Znowu nastąpiła cisza. Sekunda, dwie sekundy ciszy. Wiedział, że Izzy poczeka całą wieczność; nim się odezwie. Zrobił to za nią. - Ożeniłem się.

- To właśnie powiedziała mi twoja matka! Wspaniale! Och, bardzo się cieszę!

Niewątpliwie tak było. Znając szczerą Izzy, na pewno tak myślała. I sądziła, oczywiście, że to małżeństwo z miłości. Sądziła, że pokochali się z Josie tak szybko i mocno jak ona i Finn.

- Finn wprost nie mógł uwierzyć, gdy mu o tym powiedziałam - ciągnęła podekscytowanym tonem. - No, a gdy powiedziałam mu o dziecku... Och! To znaczy..., - Izzy przerwała zakłopotana. - Och, Sam, zawsze powiem coś niestosownego... Nie chciałam, by to zabrzmiało...

- Wiem. - To była prawda. W naturze Izzy Rule... nie, Izzy MacCauley... nie było ani odrobiny złości. Sam

o tym wiedział. Niemniej jednak nie chciał, by ludzie mówili, że ożenił się z Josie tylko ze względu na dziecko. Nawet jeśli była to prawda.

- Wtedy Finn uwierzył? - rzucił do słuchawki.

- Tak. Czy to prawda? Czy spodziewacie się...?

- Tak.

Znów zapadło milczenie. Potem Izzy powiedziała z wyraźnym przejęciem:

- Szybki chłopak z ciebie, Sam.

- Czasami wystarczy jeden raz - powiedział, nim zdążył ugryźć się w język. To nie była sprawa Izzy.

- Mam do ciebie prośbę. - Izzy zręcznie zmieniła temat. - Właściwie prośba ta będzie ci na rękę...

- Co takiego będzie mi na rękę? - spytał z ciekawością.

- Otóż, wyobraź sobie, Finn szuka pensjonatu.

- Chce kupić pensjonat?

- Oczywiście, że nie. Ma zrobić katalog mody w pensjonacie i w jego otoczeniu. W realiach amerykańskich, rozumiesz. Na święto 4 Lipca.

- Jest dopiero maj.

- Finn pracuje z wyprzedzeniem - wyjaśniła Izzy. - To ma być wiosenno-letnia kolekcja na przyszły rok. Zawsze ją robią w Puget Sound, Newport, Jackson Hole i w tego typu miejscach. W ubiegłym tygodniu długo o tym myśleliśmy i przypomniałam sobie o pensjonacie twojej ciotki w Dubuque.

- Teraz to mój pensjonat - powiedział Sam.

- Racja. Przykro mi z powodu twojej ciotki.

- Dziękuję. Właściwie to pensjonat Josie - poprawił się Sam.

- Tak nazywa się twoja żona?

Nadal nie był przyzwyczajony do posiadania żony. Zawahał się na ułamek sekundy, po czym powiedział:

- Tak.

- Jak sądzisz, czy Josie zechce przyjąć nas na tydzień? Wynajmiemy cały pensjonat. Oczywiście, wspomnimy o nim w katalogu. To będzie wspaniała reklama. Napędzi wam turystów. Uważam, że to świetny pomysł. „Opoka” zaistnieje na turystycznej mapie.

- Finn zapewne podziela twoje zdanie?

Zapadła cisza. Długa chwila ciszy. Potem Izzy powiedziała:

- Owszem, on też tak uważa. -I znów cisza. - Chyba nie jesteś zły z tego powodu, prawda, Sam? Mówiłeś, że nie masz nic przeciwko.

To była prawda. Sam Fletcher zawsze grał fair. I miał na tyle rozumu, by zostawić w spokoju kobietę, która pragnęła kogoś innego.

- Oczywiście, oczywiście... - Sam przesunął ręką po włosach. - Wcale nie jestem zły. To tylko... - Westchnął.

- Po prostu mnie zaskoczyłaś. Ale rzeczywiście to dobry pomysł. - Im dłużej o tym myślał, tym bardziej propozycja przypadła mu do gustu.

- Josie przyda się trochę rozrywki. Ona... ona będzie rodzić za miesiąc. Przeżywa ciężki okres i nie może się przemęczać...

- Gdy ma się dom pełen gości, trudno się nie przemęczać - wtrąciła Izzy.

- Masz rację, lepiej jeśli przez cały tydzień byliby ci sami ludzie - przyznał Sam stanowczo. - Widzisz, Josie nie chciała zamknąć pensjonatu, co oczywiście proponowałem. Toteż zgadzam się na waszą propozycję. Umieść „Opokę” na mapie turystycznej.

- Reklama przyda się, gdy będziecie go sprzedawać, prawda?

- Co? - Zmarszczył nagle brwi.

- Zamierzasz chyba sprzedać pensjonat, nieprawdaż? Albo Josie, twoja żona... Przecież nie przeniesiesz się na stałe do Dubuque-dodała Izzy ze zniecierpliwieniem.

- Nie... Oczywiście, że nie... - On tu nie zostanie. Ale Josie? Josie zapewne tak. Przymknął oczy. - Kiedy Finn chce przyjechać? - zapytał, opanowując emocje.

- W niedzielę.

- Już za dwa dni? - Wyprostował się raptownie.

- Tak, jeśli nie wyraziłbyś zgody, pojechałby do Newport. Och, Sam, zobaczysz, będzie bardzo miło. Już się cieszę na spotkanie z twoją żoną.

- Ty również przyjedziesz, Izzy? - Nie potrafił ukryć zdziwienia.

- Oczywiście! I dziewczynki! - Miała na myśli siostrzenice Finna: bliźniaczki Pansy i Tansy. - Zamierzamy zrobić sobie krótkie wakacje, wszyscy razem, tak samo jak wtedy, gdy Finn zabrał nas do Jackson Hole...

Sam dobrze pamiętał Jackson Hole. Po powrocie stamtąd zerwała z nim zaręczyny. Nagle do jego umysłu wkradł się niepokój.

- Izzy, nie jestem pewien... - zaczął.

- Wszystko będzie w porządku - nie dała sobie przerwać. - Obiecujemy! A więc, do zobaczenia w niedzielę!

- Do zobaczenia - wymamrotał bez wielkiego entuzjazmu.

Josie ledwie powstrzymywała łzy, gdy usłyszała tę dobrą nowinę. „Dobra nowina”, tak to nazwał. Dobra nowina!

Powinna się była domyślić... Isobel przyjeżdża... Sam nie przestał się nią interesować... Nie przestał jej kochać!

Josie poczuła się zraniona. A właściwie - roztrzęsiona. A nawet wściekła. Jak śmiał zapraszać kobietę, którą kochał i którą stracił. Czyżby zamierzał podrywać ją nadal, w obecności jej męża i... swojej żony?

Być może. Mogła się domyślić, że Isobel wygląda o wiele bardziej atrakcyjnie niż niekochana, ciężarna żona. Josie ukradkiem otarła łzy. Do diabła z Samem Fletcherem!

W porządku, będzie tak, jak on sobie życzy. Ale sam zajmie się gośćmi, ona zaś - zgodnie z zaleceniami lekarza - zrobi sobie tydzień odpoczynku.

Tydzień odpoczynku! Dokładnie tak się wyraził, informując ją o przyjeździe Isobel z mężem fotografem, modelkami i całą resztą ekipy. Jak w ogóle mogło mu przyjść do głowy, że ona będzie zadowolona!

- W porządku - powiedziała lodowatym tonem i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. W dodatku zamknęła je na klucz.

Gdy wieczorem przyszedł do biblioteki, musiał zapukać. Nie zamierzała go wpuścić - nie chciała pokazać zaczerwienionych oczu i śladu łez na policzkach. Ale w końcu zlitowała się - zgasiła światło, a potem w milczeniu wróciła do łóżka.

- Jeśli nie chcesz, żeby przyjeżdżali - powiedział spokojnie - odeślę ich z powrotem.

Nie chciała, by podejrzewał, że jest zazdrosna. Co to, to nie. Nie chciała, by domyślił się, jak bardzo ją obchodzi.

- Wszystko w porządku - odpowiedziała bezbarwnym głosem i odwróciła się do niego plecami.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, wślizgując się pod kołdrę i obejmując ją jak zwykle ramieniem.

Przytaknęła cicho; ale nie czuła się dobrze. Wcale nie.

Josie wyobrażała sobie Isobel Rule jako wysoką, smukłą jak modelka dziewczynę, o wystających kościach policzkowych Audrey Hepburn i uśmiechu Mony Lisy.

Toteż zdziwienie jej było niepomierne, choć starała się go nie okazać, gdy niska, krępa kobieta zarzuciła Samowi ramiona na szyję, uściskała go, a potem z uśmiechem odwróciła się do Josie.

- Jestem Izzy - powiedziała wesoło. - A ty zapewne jesteś tą szczęściarą! - dodała, ściskając Josie. - Cieszę się, że cię poznałam.

Josie od razu zrozumiała, że to zabawne zdrobnienie pasowało do osoby. Izzy wcale nie wyglądała jak Isobel. Nie była ani wysoka, ani smukła i wcale nie była ładna.

Widok Isobel powinien poprawić Josie nastrój.

Ale tak się nie stało. Izzy była naprawdę cudowna!

Była zabawna, słodka, ujmująca i miła. Potrafiła oczarować wszystkich techników, fryzjerów, garderobianych i modelki. Uwielbiała swoje małe siostrzenice i była wyraźnie zakochana w swym mężu. Ale również, jak się zdawało, żywiła dużo ciepłych uczuć do Sama.

Josie odnosiła nawet wrażenie - i to ją bardzo niepokoiło - że Izzy próbowała się zaprzyjaźnić ze swym byłym narzeczonym!

- Chodź, usiądź przy mnie - powiedziała Izzy, gdy Josie pojawiła się na ganku w niedzielę wieczorem.

Chciała tylko sprawdzić, co porabia Sam, i miała nadzieję, że Izzy nie ma nigdzie w pobliżu.

- Nie mogę - odparła stanowczo i cofnęła się o krok. - Mam coś do zrobienia...

- Żadnej pracy! - zawyrokowała Izzy, poklepując dłonią miejsce obok siebie na huśtawce. - Sam mówił, że nie powinnaś nic robić. Mieliliśmy cię oderwać od pracy i rozbawić; właśnie po to tu jesteśmy! - Uśmiechnęła się szeroko.

- Sam nie może mi rozkazywać - odparła Josie, mocno zdziwiona, ale podeszła bliżej, zamykając za sobą drzwi do domu.

- Oczywiście - odparła Izzy. - Sam jest przecież taki miły i łagodny!

- Wcale nie jest miły!

- Nie jest miły? - Izzy wytrzeszczyła oczy. - Sam?

- Jest tyranem - powiedziała wojowniczo Josie. Podeszła i usiadła obok Izzy. Nie czuła się dziś najlepiej; bolały ją plecy, a dziecko traktowało ją jak worek treningowy. Odgarnęła włosy z twarzy, by wyglądać na równie spokojną i opanowaną jak Izzy.

Izzy odchyliła głowę do tyłu i roześmiała się w głos.

- Tyran... - podjęła towarzyskim tonem.

- Tak - odpowiedziała Josie, choć właściwie nie było to pytanie. Spojrzała prosto przed siebie, gdzie Finn i bliźniaczki grali w piłkę na trawniku. Zmusili Sama, by z nimi zagrał. Josie przyglądała im się z niechęcią. Finn był zdecydowanie przystojniejszy od Sama... Gdy się śmiał, przypominał zuchwałego pirata. Ale Sam...

- Sam nie wygląda na tyrana - powiedziała spokojnie Izzy. To prawda, że nie wyglądał. Wiatr rozwiewał jego spalone słońcem włosy; poły koszuli łopotały na wietrze. Śmiał się, rozpaczliwie usiłując chwycić



piłkę, rzuconą celowo obok przez jedną z dziewczynek. Gdy ją złapał i odrzucił, śmiał się nadal.

Potem obaj mężczyźni wzięli dziewczynki na barana; jedna chwyciła Finna za włosy, druga Sama za uszy. Wszyscy się śmiali.

Nie, Sam stanowczo nie wyglądał jak tyran, pomyślała Josie, z trudnością przełykając ślinę, ponieważ w gardle czuła olbrzymią gulę.

Sam wyglądał jak ojciec.

- Polubiłam twoją żonę - powiedziała Izzy do Sama. Siedzieli na huśtawce na ganku w zupełnych ciemnościach.

Finn w salonie omawiał z wydawcą projekt graficzny katalogu. Modelki czarowały bywalców kasyn i nocnych klubów w Dubuque. Bliźniaczki spały.

Josie również poszła wcześniej do łóżka. Sam miał nadzieję, że przyjdzie i usiądzie z nim na ganku. Ale zaraz po kolacji wymówiła się zmęczeniem i poszła do biblioteki. Sam odwrócił się i zerknął przez okno w stronę drzwi do biblioteki. Były dokładnie zamknięte.

- Ja też ją lubię - odezwał się po chwili, spoglądając na swoje dłonie.

- To oczywiste! - Izzy zaśmiała się swobodnie. - Przecież się z nią ożeniłeś.

Sam nie odwzajemnił jej uśmiechu. Izzy bujała się wolno na huśtawce.

- Właśnie dlatego przyjechałam - podjęła.

- To znaczy...? - Zmarszczył brwi.

- To znaczy chciałam się upewnić, że jesteś szczęśliwy. I widzę, że to prawda!

- Skąd wiesz? - W jego oczach pojawił się cień niepokoju.

- Wystarczy na ciebie spojrzeć!

Wyglądał na szczęśliwego? Był doprawdy zdumiony.

- Jesteś zdenerwowany - stwierdziła Izzy - ponieważ wszystko jest dla ciebie nowe. I stało się tak szybko, no wiesz... Po prostu potrzebujesz trochę czasu, by się przyzwyczaić.

- Ach tak - powiedział bez przekonania.

Uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę i poklepała go po kolanie.

- No widzisz, wszystko się dobrze ułożyło. Moje małżeństwo z Finem i twoje z Josie. - Izzy najwyraźniej nie miała co do tego wątpliwości.

Sam nie chciał już dłużej tego słuchać. Krepowąła go rozmowa z Izzy na temat jego małżeństwa. Tylko z Josie powinien o tym rozmawiać... Ale właśnie z nią nie mógł. Co najwyżej, mógł być z nią w łóżku...

Kto wie, ile jeszcze wspólnych nocy im pozostało?

Energicznie podniósł się z miejsca, a potem wolno i trochę teatralnie ziewnął.

- Jestem naprawdę zmęczony - powiedział. - Pójdę się położyć.

- Oczywiście, Sam. - Podniosła na niego oczy z uśmiechem, a potem uśmiechnęła się szerzej na widok Finna, który wyszedł jej szukać. Wstała z huśtawki, wzięła męża za rękę i popatrzyła mu w oczy. - Myślę, że też to zrobię - powiedziała.

Josie zastanawiała się, czy Sam chciałby być teraz w łóżku z Izzy... Zgasła światło i leżała cicho pod kołdrą. Ale nie spała.

Myślała o Izzy. Tak bardzo chciałyby jej nie lubić, ale nie mogła. A jednak nie mogła również pozostać z nimi na ganku i prowadzić zwykłej rozmowy. Dziś wieczór to przekraczało jej możliwości.

Niech Sam się tym zajmie; wołała na to nie patrzeć.

Nie minął jednak kwadrans od zgaszenia światła, gdy drzwi otworzyły się i Sam wszedł do pokoju. Poruszał się cicho. Na palcach wszedł do łazienki. Słyszała szum wody, słyszała, jak myje zęby. A potem wrócił i, jak co noc, wślizgnął się do łóżka obok niej. Przez chwilę leżał w bezruchu, a później odwrócił się w jej kierunku i objął ją ramieniem.

Obudził ją nieustający, tępy ból w krzyżu. Była już do bólu przyzwyczajona, stał się jakby częścią niej od tak dawna, że uznawała go za normalny. Ale dziś zaczęło się z nią dziać coś innego. Nadal leżąc w objęciach Sama, poruszyła się nieznacznie.

Nie przebudził się, ale także odwrócił, jakby ją naśladowując. W świetle księżycy wpadającego przez okno obserwowała, jak śpi; jego stanowcze usta przybrały teraz łagodny wyraz i nieco się rozchyliły.

Wyglądał pięknie. Doskonale. I wcale nie chrapał.

Gdy tak leżała, podziwiając pogrążonego nadal we śnie Sama, ból się nasilił. Miała wrażenie, jakby ktoś zaczął ścisnąć jej brzuch żelazną obręczą. Próbowwała znów się poruszyć, zmienić pozycję. Ale to nie pomagało. Poruszyła się ponownie.

Wtedy Sam gwałtownie otworzył oczy.

- Co się stało? - Głos miał czuły i poważny.

Josie uwielbiała słyszeć go zaraz po obudzeniu. Uwielbiała również na niego patrzeć. Wyglądał tak bezbrinnie, niewinnie i chłopięco...

Ale dziś nie mogła oddać się obserwacjom. Zaciskając zęby, wyszeptała:

- Chyba zaczynam rodzić, Sam...

Pomyślał, że za chwilę zemdleje.

Ostatnim razem poradził sobie doskonale. Błyskawicznie zawiózł ją do szpitala, dając dowód siły i dzielności. Ale dziś leżał na plecach nieruchomo, jak sparaliżowany. Odetchnął głęboko, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Josie obserwowała go szeroko otwartymi, zdumionymi oczami.

Czuł się jak skończony dureń. Wreszcie, pokonując ogromny opór, wstał.

- Przepraszam - wymamrotał. - To tylko... - Popatrzył na nią uważniej. - Chodzi o to, że...

Przełknęła ślinę i tylko skinęła głową, jakby okazując mu zrozumienie.

Cóż, dla Josie, jak sądził, poród będzie ulgą - przynajmniej odzyska z powrotem swoje ciało... A on? On zostanie ojcem! I to nie w jakiejś dalekiej, nieokreślonej przyszłości - ale nieuchronnie i zaraz. To była sprawa zaledwie kilku godzin!

W porządku, musi wziąć się w garść. Wstał i włożył dżinsy; chwiał się lekko na nogach, potykał, prawie na nią upadł. Ręce mu się trzęsły.

- Do licha, nie jestem przygotowany - wymamrotał z trudem. - Może powinniśmy pójść do... szkoły rodzenia, albo coś w tym rodzaju?

- Chodziłam do szkoły rodzenia - wyjaśniła Josie. - Przed twoim przyjazdem.

Sam wreszcie zapiął spodnie.

- W porządku, dobrze, że choć jedno z nas wie, co się będzie działo - powiedział. - Możesz mnie nauczyć?

Josie się uśmiechnęła.

Aż do tej chwili nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo pragnął zobaczyć jej uśmiech. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ją kocha...

Kocha ją? Naprawdę? O Boże, ależ tak!

Miłość nie spadła nań niczym grom z jasnego nieba, jak sobie to zawsze wyobrażał, nie narodziła się spontanicznie, jak uczucie do Izzy... Miłość, którą darzył Josie, była głębsza i znacznie silniejsza.

Nie było to uczucie zrodzone w jednej chwili; powstawało stopniowo w ciągu setek, tysięcy krótkich chwil. Przypominał je sobie wszystkie, stały mu przed oczami jak klatki jakiegoś filmu: Josie jako nastolatka - młodziutka, pełna entuzjazmu; Josie jako młoda kobieta - cicha, poważna i słodka zarazem... Josie, gdy pływała, sprzątała, śmiała się i czytała. Josie, która go pieściła... I kochała.

Nagle zdał sobie sprawę, że jej śliczną twarz wykrzywia grymas bólu. Przyciskała kurczowo dłoń do brzucha, to znów do pleców.

Zstąpił z chmur i skupił całą uwagę na siedzącej przed nim na brzegu łóżka żonie. Chciał jej powiedzieć - tak bardzo pragnął jej powiedzieć: kocham cię!

Ale bał się, że ona wcale nie chce tego usłyszeć. Nie obiecywał jej miłości, biorąc z nią ślub. Miłość nie była częścią układu, jaki ze sobą zawarli.

Zamknął usta w pół słowa i wyciągnął rękę.

- Chodź, pomóżmy naszemu dziecku przyjść na świat!

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

---

Zawsze mogła polegać na Samie. Była tego pewna. I nie doznała rozczarowania.

Wszystkie te historie o mężczyznach, którzy tracili głowy, gdy ich żony zaczynały rodzić, okazały się wyssane z palca. Sam był spokojny, świetnie zorganizowany i odpowiedzialny. Nie zawiódł jej oczekiwań.

Tylko próbował udawać zdenerwowanie. Nawet rozbawił ją stwierdzeniem, że będzie musiała go uczyć. A potem, oczywiście, zajął się wszystkim z właściwą sobie energią.

Spakował jej torbę. Przypomniawszy Benjaminowi i Cletusowi, by rano zajęli się śniadaniem. Obudził Izzy i Finna, nie przejmując się wcale, że musi pójść na górę i walić w drzwi do ich pokoju.

Kilka minut później Izzy, pachnąca jeszcze snem i miłością, zeszła na dół, by zapytać, czy może w czymś pomóc.

Josie zerknęła na Sama, aby sprawdzić, czy zauważył zarumienione policzki Izzy, ale on wcale na nią nie patrzył. Powiedział tylko stanowczym tonem:

- Zajmij się wszystkim - i wypchnął Josie za drzwi.

W szpitalu, gdy Josie zabrano na oddział położniczy, Sam wypełnił kwestionariusz w Izbie Przyjęć. Zanim dotarł na oddział, Josie położono już w sali porodowej, a pielęgniarka stojąca w drzwiach zagroziła mu drogę.

- Nie chodził pan na kursy szkoły rodzenia - powiedziała twardo. - To warunek, by uczestniczyć w porodzie.

- Życzenie mojej żony to dla mnie jedyny wymagany warunek - warknął ostro. Ponad głową pielęgniarki popatrzył na Josie. - Chcesz mnie? - zawołał do niej.

Wiedziała, że w tym pytaniu nie ma żadnego podtekstu. Cóż, chodziło mu tylko o tę chwilę.

- Tak - powiedziała słabym głosem. Miała wrażenie, jakby po raz drugi składali sobie przysięgę.

Sam wyglądał na trochę przestraszonego, ale również przytaknął.

- Z drogi! - powiedział do pielęgniarki.

Josie była pewna, że gdyby kobieta nie ustąpiła, przewróciłby ją na ziemię.

Rodzenie dzieci było normalnym, naturalnym zjawiskiem i Sam dobrze o tym wiedział.

Wiedział, że Josie musi przejść przez to, przez co przed nią przeszły miliony kobiet. Wiedział, że była silna i zdrowa. Ufał, że da sobie radę. Wszystko przebiegało zgodnie z planem i nie było powodu do niepokoju. A mimo to się martwił. Nic na to nie mógł poradzić. W dodatku cały czas dręczyło go poczucie winy.

Wycierał jej twarz wilgotnym ręcznikiem, masował plecy i ramiona; starał się oddychać wraz z nią - wolno i głęboko, tak jak nakazywał lekarz. Przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić.

Ten, kto twierdził, że kobiety są słabą płcią, zapewne nie widział ich podczas porodu. Sam miał teraz okazję podziwiać cierpliwość Josie. I jej siłę. Zastanawiał się po raz kolejny, jak on zachowałby się w podobnej sytuacji... Oczywiście, Josie nie miała już wyboru...

Podziwiał zwłaszcza pogodę ducha, z jaką poddała się  
przeznaczeniu. Była od niego o wiele silniejsza... I odważniejsza. Ale  
powtarzał sobie, że gdyby mógł, oszczędziłby jej tego wszystkiego.

Czy była to jednak prawda? Gdyby mógł jej tego oszczędzić, nie  
byłby z nią teraz, nie podziwiałby jej. I nie uświadomiłby sobie, jak bardzo  
ją kocha!

Nie poznałby tego cudownego uczucia satysfakcji i ulgi, gdy doktor  
powiedział wreszcie:

- W porządku. Już niedługo się urodzi.

I nie czułby kurczowego uścisku jej dłoni, gdy lekarz nakazał jej  
przeć. Nie słyszałby też krzyku, gdy ich syn, czerwony i popiskujący,  
przyszedł na świat:

- Popatrz! Och, popatrz! Czyż nie jest piękny?

Sam popatrzył na dziecko i na kobietę, która je urodziła. Czuł, jak po  
policzkach spływają mu łzy. Nawet nie starał się ich wytrzeć.

- Piękny - powiedział zduszonym głosem. Nie tylko dziecko, ty też  
jesteś piękna, dodał w myślach.

Josie powtarzała sobie, że było warto. Warto było przez to przejść -  
dla Jamesa Samuela Nolana Fletchera, tego cudownego dziecka, które  
nazywali Jake. Jake był wspaniałym chłopcem.

- Najwspanialszym na świecie - powiedział stanowczo jego ojciec.

Wtedy Sam oczywiście tak pomyślał. Był oddanym ojcem. I  
cudownym mężem. Pozostał przy żonie przez cały czas porodu.

Ale później zniknął.

Josie zdrzemnęła się zaraz po porodzie, a gdy otworzyła oczy, Sama  
już przy niej nie było. Rozejrzała się zawiedzionym wzrokiem po pokoju.



Radość, jaką odczuwała, zgasła jak płomyk świecy. Poczula się samotna, porzucona, niechciana...

Sam wyszedł. Po prostu - wyszedł. Odebrała to jak zły omen, zapowiedź ponurej przyszłości. Przyszedł, pomógł jej i odszedł.

Znów rozejrzała się po pokoju. Nie pozostawili po sobie żadnego śladu - żadnej wskazówki, że kiedykolwiek był w jej życiu.

Prócz Jake'a.

Josie wiedziała, że w końcu będzie musiała wrócić do rzeczywistości. A rzeczywistość rysowała się dość ponuro: Sam ożenił się z nią, by dać dziecku nazwisko; pozostał z nią podczas ciąży, by wesprzeć ją swą siłą, ofiarować podporę moralną; obiecał jej pensjonat, by zabezpieczyć ją finansowo.

Ale teraz odejdzie... Od początku wiedziała, że odejdzie. Zawarli przecież taki układ. Obydwoje się na to zgodzili. Pozostanie więc sama z Jakiem.

Muszę się do tego przyzwyczaić, pomyślała, powstrzymując łzy ciskające się do oczu. Wytarła je wierzchem dłoni.

Musiała być wdzięczna za to, co ma. I będzie. Przysięgła sobie, że będzie.

Wypisali ich ze szpitala, gdy Jake miał dwa dni.

Samochód wiozący Josie, Sama i Jake'a podjechał przed frontowy ganek akurat w trakcie sesji fotograficznej na trawniku. Wszędzie pełno było kamer, świateł, kabli elektrycznych; przed domem kręciły się modelki i biegali technicy.

- Pozbędę się ich - zaproponował Sam.

- Nie ma potrzeby - zaprotestowała Josie. - Poza tym straciłby na tym pensjonat.

Oczywiście, o tym powinna teraz myśleć. Nawet jeśli Sam zabezpieczy ją finansowo, musiała dbać o pensjonat, planować jego przyszłość. Po odjeździe Sama będzie potrzebować zajęcia bardziej niż kiedykolwiek.

Sam tymczasem spojrzął na nią surowo, ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć, podbiegła do samochodu Izzy, a za nią dziewczynki.

Wśród okrzyków zachwytu nad niemowlęciem Sam poprowadził Josie na ganek. Usiadła na huśtawce z dzieckiem na rękę. Izzy i bliźniaczki zajęły miejsca naprzeciw niej na poręczy. Trzy modelki oraz masażystka podeszły również, by zobaczyć dziecko. Nawet Finn i dwóch innych mężczyzn poczuli się w obowiązku podejść i symbolicznym gestem wznieść kciuki do góry. Josie była zadowolona z tego zainteresowania.

Sam jednak zaciskał zęby ze złości; wyglądało na to, że chętnie by wszystkich wyrzucił. W końcu zaproponował Josie, by poszła do biblioteki odpocząć.

- Nie - sprzeciwiła się stanowczo. Wcale nie miała ochoty odpoczywać. Nie chciała być teraz sama.

Na pewno znów nawiedziłyby ją myśli o samotnej, smutnej przyszłości. Jeszcze będzie dość czasu, by się tym zamartwiać. Całe lata pustego życia bez Sama.

Odwróciła się od niego, zadowolona, że Finn zadał jej jakieś pytanie. Ale on po prostu cofnął się o krok i pstryknął zdjęcie.

- O Boże! - zaprotestowała, zasłaniając twarz dłonią.

- Nie teraz.

- Nie martw się - powiedział Finn, nadal robiąc zdjęcia.

- Nie umieszczę ich w żadnym magazynie. Choć muszę przyznać, że macierzyństwo dodaje kobiecie blasku. - Odwrócił się i szybko zrobił zdjęcie Izzy, która spłonęła rumieńcem,

- Czy chcecie nas powiadomić, że Izzy jest w ciąży? Izzy, nadal czerwona, skinęła głową, a Finn popatrzył na żonę z taką miłością i czułością, że Josie zebrało się na płacz o Boże, dlaczego Sam nigdy tak na mnie nie patrzył...?

Sam stał przy huśtawce. Odwracając lekko głowę, mogła zobaczyć jego nogi w spodniach koloru khaki oraz przytupującą ze zniecierpliwieniem stopę.

Poczuła, że przygląda jej się z góry.

Nie mogła odwzajemnić tego spojrzenia.

Gdzieś po drodze ją stracił.

Stał na skraju urwiska i patrzył na odległe miasto.

A może, rozmyślał, tak naprawdę nigdy jej nie miał? Wyszła za niego tylko z powodu ciąży... Wcale go nie kochała. Nie chciała spędzić z nim reszty życia.

A właściwie wyszła za niego, ponieważ tego zażądał. To wszystko.

Dlaczego więc był tak bardzo zaskoczony, gdy go odrzuciła?

Dlaczego poczuł się zraniony, gdy nagle się wycofała, zamknęła we własnej skorupie?

Od razu to wyczuł. Od pierwszej chwili, gdy wrócił do jej pokoju w szpitalu, skąd wyszedł tylko po to, żeby kupić kwiaty.

Spodziewał się, że nadal będzie spała. Ale ona już się obudziła i nawet lekko uśmiechnęła się do niego. Potem jednak odwróciła wzrok. Nawet gdy ze słabym uśmiechem przyjmowała bukiet stokrotek, ledwie na niego patrzyła. Zachowywała się tak, jakby wcale jej nie obchodził.

To była prawda. Już dla niej nie istniał. Spełnił swoje zadanie. Był dla niej podporą podczas ciąży i porodu. Zabezpieczył ją finansowo i dał dziecku swoje nazwisko.

Już dłużej go nie potrzebowała. Może nigdy go nie potrzebowała? Może tylko chciała.

Odsunął od siebie te myśli. Ale nie mógł odsunąć jednej - że wkrótce będzie musiał wyjechać i pozwolić jej prowadzić własne życie. Obiecał jej to. Musi tak postąpić.

Co prawda, nie mógł wyjechać natychmiast. Nadal dochodziła do siebie. Jeszcze przez pewien czas będzie jej potrzebny. Przez kilka dni, może tygodni... Żywił taką nadzieję.

Ta myśl sprawiła, że odetchnął trochę swobodniej.

Czuła, że się od niej odsuwa. Minuta po minucie. Godzina po godzinie. Dzień po dniu. Spodziewała się, że pewnego razu zobaczy, jak patrzy na zegarek, wydawało jej się bowiem, że Sam rozpaczliwe pragnie wyjechać.

Już więcej nie kładł się z nią do łóżka. Gdy przywiozła Jake'a do domu ze szpitala i przeniosła się z biblioteki do własnego apartamentu, przestali ze sobą spać.

Pierwszej nocy przyszedł, stanął w drzwiach i patrzył, jak układa Jake'a do snu. Ale nie wszedł do pokoju. Popatrzył na dziecko, potem na podłogę, wreszcie na nią.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

Co mu miała odpowiedzieć? Czy spodziewał się, że będzie błagać, by z nią został?

- Doskonale - powiedziała.

- W takim razie kładź się spać. - Włożył ręce do kieszeni, odwrócił się i zamknął za sobą drzwi.

Nie spała przez całą noc. Drzemała zaledwie, rzucając się i przewracając na łóżku. Najśłabsze piśnięcie Jake'a podrywało ją na równe nogi; brała go na ręce, przytulała i huśtała. Potrzebowała ciepła jego maleńkiego ciała, tak samo jak on potrzebował jej.

Gdy spoglądała na jego ciemne oczy wpatrzone w przestrzeń, wiedziała - po prostu wiedziała - że pewnego dnia zobaczy w nich odbicie Sama...

- Och, Jake - wyszeptała. - Co ja zrobię?

Possał trochę, potem ziewnął i zasnął. W końcu Josie, z dzieckiem na ręku, również się zdrzemnęła.

Obudziło ją pukanie do drzwi. Zamrugła oczami i wyprostowała plecy. Było już jasno, ale nadal bardzo wcześnie. Dziecko mruknęło coś przez sen.

- Śpij, kochanie - szepnęła, a potem powiedziała głośniej: - Kto tam?

Drzwi się otworzyły. Stał w nich Sam. Wyglądał, jakby nie zmrużył oka przez całą noc.

- Pomyślałem, że cię zastąpię - powiedział. - Spałaś?

- Tak - skłamała.

Patrzyła znużonym wzrokiem, jak ku niej podchodzi. Chciała wyciągnąć rękę i powiedzieć, że za nim tęskniła. Chciała, żeby z nią był i ją przytulał... Ale tylko spuściła wzrok i nadal bujała dziecko.

Sam stanął obok fotela.

- Nie słyszałem jego płaczu.
- Od razu wzięłam go na ręce.
- A więc nie spałaś...

Uniosła wzrok i popatrzyła mu w oczy.

- Dopasowałam się do niego. - Wzruszyła ramionami.
- Daj mi go na chwilę... - Zawahał się. - Położę go przy tobie na łóżku.

, Wziął dziecko na ręce i nieporadnie przytulił do piersi. Jake poruszył się i skrzywił. Sam popatrzył na niego z niepokojem. Gdy malec zaczął płakać, Sam, mruczając pod nosem, przycisnął go mocniej do piersi, jednocześnie gładząc go dużą dłonią po plecach.

Josie pamiętała tę dużą dłoń na swoim ciele...

- Pójdę wziąć prysznic - powiedziała, podnosząc się z fotela.

Gdy wróciła do sypialni, ani Jake'a, ani Sama tam nie było. Wybiegła do holu i pognęła na dół, po drodze niemal przewracając Izzy.

- Uważaj, Josie - zawołała żona Finna z uśmiechem. - Gdzie tak pędzisz?

- Nie mogę znaleźć Jake'a... Sam go wziął i...
- Chodź ze mną - powiedziała Izzy i poprowadziła Josie na dół do saloniku.

Na kanapie spał Sam, a na jego piersi, z palcem w buzi i pupą wzniesioną do góry, mały Jake.

Josie z trudnością przełknęła ślinę; nie mogła słowa wykrztusić.

- Zawsze wiedziałam, że z Sama będzie wspaniały ojciec - powiedziała Izzy. - To jeden z powodów, dla którego chciałam za niego wyjść za mąż.

- A więc dlaczego zrezygnowałaś? - szepnęła Josie.

- Ponieważ to, co do siebie czuliśmy, nie da się porównać z tym, co łączy mnie z Finnem. Ani z uczuciem, którym obdarza cię Sam.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale w porę je zamknęła. Nie mogła przecież powiedzieć Izzy prawdy.

Uśmiechnęła się lekko, ponieważ Izzy jakby na to czekała. Ale gdy spojrzała na swego męża, zapragnęła, by to było prawdą.

Jak długo można się oszukiwać? Jak długo miał udawać, że Josie go potrzebuje?

Finn i Izzy wraz z całą świtą wyjechali pod koniec tygodnia. Josie od razu zajęła się prowadzeniem pensjonatu. Najwyraźniej chciała, by interes nie ucierpiał ani trochę z powodu jej macierzyństwa.

Ale Sam nadal zwlekał z wyjazdem. Josie nic nie mówiła, ale widział w jej oczach niechęć.

Być może, gdyby Jake nie był tak spokojnym i cichym dzieckiem, Sam czułby się bardziej potrzebny. Gdyby płakał przez całą noc albo marudził w ciągu dnia, Sam mógłby Josie wyręczyć w niektórych obowiązkach.

Ale Jake był idealny. Dużo spał, jadł, a kiedy nie spał -z zadowoleniem obserwował otoczenie.

Sam był tu niepotrzebny i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Modlił się wręcz, by Josie kazała mu zostać. Zrobiłby to w jednej chwili. Miał nadzieję, że powie „potrzebuję cię” albo jeszcze lepiej „kocham cię”... Gdyby to zrobiła, zostałby na całe życie.

Ale nie doczekał się. Rzadko w ogóle na niego patrzyła, a jeszcze rzadziej się do niego odzywała. Było oczywiste, że chciała, by zniknął z jej życia.

Toteż gdy zadzwoniła Elinor i spytała sucho: „Czy mnie jeszcze pamiętasz? Czy pamiętasz firmę Fletchera? A pana Rajchakita? Otóż, jesteś mu potrzebny w Tajlandii. Zaraz” - nie miał powodu, by się nie zgodzić.

Josie siedziała pośrodku pokoju w bujanym fotelu z Jakiem na rękach. Rozmawiała z parą nauczycieli z Ann Arbor, którzy przyjechali do Dubuque spędzić tu dwudziestą piątą rocznicę ślubu.

Tuż za oknem goście siedzący na ganku słuchali historii Dubuque opowiadanej przez Benjaminą. Cletus przycinał na klombie przekwitłe peonie. Nad głową Sam słyszał dźwięk odkurzacza, włączonego przez jedną ze studentek.

- Wyjeżdżam - zakomunikował Sam, przerywając rozmowę. Goście spojrzeli na niego zdziwieni. Ale on patrzył tylko na Josie, a jej twarz pozbawiona była wyrazu.

- Muszę wyjechać do Tajlandii - wyjaśnił. - Jeszcze dziś po południu.

- Tajlandia! - zawołała nauczycielka. - Dziś po południu!

Wyobrażasz sobie? To właśnie oznacza, że żyjemy w globalnej wiosce!

- Powtarzam to co dzień moim uczniom. - Jej mąż poprawił na nosie okulary.

Sam nadal patrzył na Josie. I na Jake'a. Potem znów na Josie.



Powiedz coś, mówiły jego oczy. Daj mi jakiś znak! Jedno słowo. Spojrzenie. Zatrzymaj mnie!

Josie nie poruszyła się. Przestała się huścić. Po prostu siedziała nieruchoma jak kamień.

- Dokąd w Tajlandii pan się udaje? - spytała podnieconym głosem kobieta.

- Byłem w Bangkoku - wtrącił jej mąż. - Zbliżała się właśnie pora monsunowa.

Sam obserwował Josie. Czekał. Miał nadzieję.

- Czy była pani kiedykolwiek w Tajlandii, moja droga? - zwróciła się nauczycielka do Josie.

Josie potrzebowała dłuższej chwili, by te słowa do niej dotarły.

- Słucham? - Wyglądała na przestraszoną, zmieszaną. Zamrugła oczami, a potem potrząsnęła głową. - Nie -odparła powoli. - Nie byłam. I prawdopodobnie nigdy nie będę.

Jake dostał kolki. Ale Sam nigdy się o tym nie dowiedział.

Eroll Flynn miała kociaki. Tego też nie wiedział.

Cletus, przycinając forsycje, przeciął sobie kciuk sekatorem.

Obydwie studentki wyjechały na wakacje i Josie musiała znaleźć inną pomoc. W końcu znalazła, ale to wcale nie było łatwe.

O tym wszystkim Sam nie miał pojęcia.

Zadzwoił do Josie z Tajlandii. Połączenie było niedobre; cały czas trzeszczało w słuchawce, więc musieli się wzajemnie przekrzykiwać.

Następnym razem zatelefonował już z Nowego Jorku.

- Jak się ma Jake? - zapytał.

- Doskonale - odparła, zresztą zgodnie z prawdą; malec miewał kolki, ale właściwie był zdrow.

- Mógłbym przyjechać, jeśli byś mnie potrzebowała - powiedział w pewnej chwili.

- Nie trzeba - odparła, choć tęskniła za nim bardzo. W słuchawce zapadła cisza.

- To świetnie - skwitował. - Właściwie mam mnóstwo pracy.

Nigdy nie pytali o siebie. Rozmawiali tylko o Jake'u. Tylko Jake się liczył.

Josie powtarzała to sobie tysiąc razy. Za każdym razem, gdy pomyślała o Samie - za każdym razem, gdy za nim zatęskniła. Powtarzała to sobie w nocy, gdy usiłując zasnąć, obejmowała ramionami poduszkę.

Tylko Jake miał znaczenie. To było jak mantra odbijająca się echem w jej głowie.

Ale ilekroć to powtarzała, wiedziała, że nie była to cała prawda.

Sam liczył się również.

Wpadł na Izzy w Central Parku. A właściwie to ona - rozpędzona na rolkach - wpadła na niego. Wracał do domu piechotą, ze spuszczoną głową, po pracy, którą starał się zapełnić puste godziny bez Josie. Jediną liną ratunkową był telefon; łączył go raz dziennie z jedynymi osobami na ziemi, które miały dla niego znaczenie. Tylko że one o tym nie wiedziały...

Miał przed sobą jeszcze trzy godziny, nim będzie mógł zadzwonić do nich wieczorem. Liczył już minuty, gdy wpadła na niego Izzy wraz z dwiema siostrzenicami Finna.

- Izzy! - Upadłaby, gdyby nie zdążył jej złapać za ramię. - Nic ci nie jest...?

Nie widział jej, odkąd wraz z Finnem i modelkami wyjechali z Dubuque miesiąc temu. Dekadę temu. Całą wieczność.

Uchwyciła się jego ramienia, aby utrzymać równowagę.

- Co za spotkanie! - Uśmiechnęła się promiennie i pocałowała go w policzek. Potem jednak odsunęła się o krok i zmarszczyła brwi. - Wyglądasz okropnie - stwierdziła.

- Wielkie dzięki - powiedział. - Nie mogę tego samego powiedzieć o tobie.

Izzy rzeczywiście wyglądała cudownie. Cała promieniała. Roztaczała wokół siebie blask zbliżającego się macierzyństwa, choć ledwie można było zauważyć, że jest w ciąży. Pamiętał ten blask; widział go na twarzy Josie...

- Nie powinnaś jeździć na rolkach - powiedział. - Może ci się coś stać.

- Jestem grubo ubrana - odparła. - Przestaną, gdy mi zabroni lekarz. Podjechały do nich bliźniaczki i rzuciły z uśmiechem:

- Cześć, Sam. Gdzie jest Josie? Gdzie mały Jake?

- Właśnie - podjęła Izzy, rozglądając się wokół - gdzie Josie? Kiedy przyjechałeś do Nowego Jorku?

- Dwa tygodnie temu. - Sam nie odpowiedział na pozostałe pytania. - Jak się miewasz, Izzy? - zmienił temat.

- Doskonale. Jestem tylko trochę podenerwowana... Czuję przyspieszone bicie serca. Chciałam o tym porozmawiać z Josie.

Sam wbił wzrok w ziemię; potem w przestrzeń ponad głową Izzy. Zakołysał się na piętach i podrapał w głowę.

- Josie została w Dubuque - powiedział w końcu.

- W Dubuque? Dlaczego? Nie sprzedaliście jeszcze pensjonatu?

- Nie zamierzamy go sprzedać. - Nadal nie patrzył na Izzy. Żałował, że zgodził się, by Izzy i Finn przyjechali do „Opoki”. Przynajmniej teraz nie musiałby się tłumaczyć.

- Josie szuka kogoś do prowadzenia pensjonatu...? - podjęła Izzy niepewnym tonem.

- Nie, Josie nikogo nie szuka. Josie tam zostaje.

Izzy patrzyła na niego zmrużonymi oczami. Zmarszczyła brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Nie... będziemy razem.

- Dlaczego?

- Izzy! - Popatrzył na nią ze złością. - Nie powinnaś zadawać takich pytań!

Oparła dłonie na biodrach.

- A dlaczego nie? To całkiem rozsądne pytanie, zważywszy, że miesiąc temu byliście nierozłączni!

- Była wtedy w ciąży. Potrzebowała mojej pomocy...

- A teraz już nie potrzebuje? - spytała Izzy, nie kryjąc sarkazmu.

- Nie! - Zacisnął zęby. - Do diabła, nie!

- Kobieta z maleńkim dzieckiem, trzema kotami, psem, dwoma starszankami na głowie i dwudziestopokojowym pensjonatem nie potrzebuje pomocy?

- Ode mnie nie potrzebuje - rzekł stanowczo.

- Powiedziała ci to?

- Tak!

- Nie wierzę... - Urwała na chwilę, jakby w zadumie, a potem podjęła: - Właściwie mogę uwierzyć...

- Co masz na myśli?

Przełknęła ślinę i popatrzyła na Sama ostrym wzrokiem.

- Czy choć raz powiedziałeś jej, że ją kochasz?

Sam opuścił ramiona i wbił wzrok w czubek buta. Milczał. To było bardzo wymowne milczenie. Izzy jęknęła.

- Sam... - odezwała się po chwili z wyraźnym zniecierpliwieniem.

- Ona nie chciałaby tego usłyszeć - bronił się. - Nie chciała wyjść za mnie! Pobraliśmy się tylko z powodu dziecka! Zmusiłem ją do tego.

- Otóż to - mruknęła Izzy pod nosem. - Ale nie zmuszałeś jej, by się z tobą kochała i zaszła w ciążę, prawda?

Sam popatrzył na nią wstrząśnięty.

- Oczywiście, że nie! - obruszył się.

- A jak myślisz, dlaczego to zrobiła?

Poczuł, że rumieniec wypełza mu na szyję i policzki. Nikomu nie chciał wyjaśniać okoliczności tamtej nocy, a zwłaszcza Izzy...

- Wypiliśmy trochę - bąknął. - Wiesz, przeżywaliśmy trudne chwile, obydwójce.... - Nie potrafił się wysłowić. - To nie stało się dlatego, że mnie kochała....

- Sam, jesteś skończonym idiotą! - powiedziała Izzy dobitnie.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

---

Sam Fletcher potrafił wykazać niezachwianą pewność siebie i determinację, jeśli był pewien, że dokonuje słusznego posunięcia. Gdy w grę wchodziły interesy i walczył o to, czego pragnął, postępował odważnie, nie stroniąc od ryzyka.

Dlaczego więc nie mógł od razu spakować się i pojechać prosto do Dubuque, by stanąć tam twarzą w twarz z Josie i powiedzieć, że ją kocha?

Dlaczego zwlekał trzy dni, cały tydzień, a nawet dłużej? Nie potrafił się zdecydować. Nie potrafił zrobić tego, co zdaniem Izzy już dawno powinien zrobić. Nie potrafił wyznać Josie miłości.

- Nie mogę w to uwierzyć! - powiedziała do niego oskarżycielskim tonem. - Czy ty jesteś ślepy? Josie za tobą szaleje!

- To nieprawda - zaprzeczył. - Wcale nie szalała. A może...?

Czy powinien rozbudzać w sobie nadzieję? Już kiedyś miał nadzieję. Obserwował ją przez cały czas, czekając na jakiś znak z jej strony, jeden czuły gest, jeden uśmiech...

Ale niczego nie zauważył.

Czego właściwie się obawiał? Czyż mogło być gorzej niż jest?

Obawiał się, że Josie złamie mu serce. Bał się powtórnego odrzucenia...

Gdy zaręczył się z Izzy, myślał, że ją kocha. Był jednocześnie przekonany, że z wzajemnością. Ale ich uczucia do siebie nie wytrzymały próby, gdy pojawił się Finn. Chociaż z uśmiechem na ustach pozwolił Izzy odejść, poczuł się głęboko zraniony.

Wiedział jednak, że tamtego bólu nie da się porównać z tym, który odczuje, gdy Josie powie mu, że go nie kocha...

Dopóki nie pojechał do Dubuque, mógł przynajmniej łudzić się nadzieją, że choć trochę ją obchodzi - że pewnego dnia, jeśli da jej czas, Josie się w nim zakocha. Taki stan mógł trwać całe lata.

Sam uważał się za człowieka cierpliwego. Nie pojechał do Dubuque. Dzwonił. Co wieczór.

- Jak się miewa Jake? - pytał, a w myślach dodawał: Kochasz mnie? - Rośnie? - Czy już się uśmiecha?

Co wieczór wysłuchiwał jej odpowiedzi. Ale tak naprawdę chciał usłyszeć odpowiedź na te pytania, których nie ośmielił się postawić. - Tęsknisz za mną? Co byś powiedziała na to, że cię Kocham...? - Co wieczór, gdy odkładał słuchawkę, czuł się coraz bardziej samotny i opuszczony.

- Nie rozumiem, dlaczego Josie nadal mieszka w Dubuque? - zapytała pewnego dnia jego matka. Patrzyła na niego, marszcząc brwi. - Nie rozumiem, dlaczego jej na to pozwalasz?

- Josie miała własne życie, zanim za mnie wyszła - odpowiedział enigmatycznie. Nie mógł zdobyć się na odwagę, by powiedzieć matce prawdę.

- Wiesz co - powiedziała pewnego popołudnia jego sekretarka, Elinor, przerzucając stos telegraficznych notatek, na które nie udzielił odpowiedzi. - Byłeś o wiele bardziej skuteczny w zarządzaniu przedsiębiorstwem, gdy jedną ręką tapetowałeś ścianę w Dubuque, a w drugiej trzymałeś telefon. Powinieneś wrócić do Dubuque, Sam. Do domu, do żony i syna!

Zrobiłby to, pomyślał, rzucając pocztę na kuchenny blat w swoim apartamencie na Piątej Alei, gdyby miał choć cień szansy, że Josie go przyjmie.

Westchnął i bezwiednym ruchem zaczął przeglądać pocztę. Po wyrzuceniu do kosza wszystkich reklamówek zostały same rachunki. Nagle zmarszczył brwi na widok adresowanej ręcznym pismem koperty.

Gdy ją rozdarł palcami, wypadła z niej fotografia. I kartka od Izzy. Widniało na niej tylko jedno zdanie: „Finn twierdzi, że to zdjęcie warte jest tysiąc słów”.

Odłożył kartkę na blat i wpatrywał się w zdjęcie. Była to jedna z fotografii, które zrobił Finn tego popołudnia, gdy przywiózł Josie i Jake'a ze szpitala. Josie siedziała na huśtawce, trzymając dziecko na ręku. Ale wcale nie patrzyła na syna. Kątem oka przyglądała się mężczyźnie ubranemu w spodnie khaki, który stał obok niej.

Sam znał tego mężczyznę... To był on we własnej osobie.

I pamiętał ten moment. Patrzył wówczas na Jake'a, nie ośmielając się spojrzeć na jego matkę - nie ośmielając się powiedzieć jej, że bardzo ją kocha...

Teraz zobaczył, że Josie patrzyła na niego... Nie pamiętał, aby kiedykolwiek patrzyła na niego w ten sposób. Nie znał tego wyrazu czulej tęsknoty, który malował się wyraźnie na jej ślicznej twarzy.

Czyżby to było możliwe...? A może z Finna po prostu dobry fotograf?

Josie, mieszając masę złożoną z sera, rodzynek i musu jabłkowego, modliła się w duchu, by Jake nie obudził się, dopóki nie skończy



przygotowywać nadzienia do jutrzejszych naleśników. Jake kapryśił dziś przez cały dzień.

- Ząbkuje - skostatował Benjamin.

- Ma dopiero sześć tygodni - zdziwiła się Josie. Benjamin twardo obstawał przy swoim zdaniu. Razem z Cletusem świata nie widzieli poza „honorowym wnukiem”, jak nazywali małego Jake'a, który ich zdaniem wyprzedzał w rozwoju wszystkie inne niemowlaki.

Wreszcie po dziewiątej wieczorem Jake zasnął. Josie poczuła ulgę, ponieważ jak co dzień spodziewała się telefonu Sama i wołała, żeby nie usłyszał płaczu dziecka.

Z telefonem komórkowym w kieszeni pobiegła na górę, żeby zmienić pościel w jednym z gościnnych pokojów. Potem wróciła na dół i nakryła stoły do jutrzejszego śniadania.

Było już dobrze po dziewiątej, gdy zabrała się za nadzienie naleśnikowe. Przez cały czas dręczyły ją obawy, że Jake się obudzi; raz po raz zerknęła do pokoju kredensowego, gdzie stał wózek.

Ręce miała oblepione serem, gdy usłyszała kwilenie Jake'a. Po chwili kwilenie przerodziło się w łkanie, wreszcie w płacz z głębi gardła, który mógł oznaczać tylko jedno: „Mamo, gdzie jesteś? Jestem głodny!”.

- Do diabła! - Próbowała oskrobać dłonie z sera, ale kleiły się niemiłosiernie. - Już idę, kochanie! - zawołała śpiewnie i przytrzymując miskę ramieniem, zaniósła ją do pokoju kredensowego.

Jake nadal wył.

- Już idę, poczekaj chwilę! - Odwróciła się, by odstawić miskę i wpadła prosto na czyjąś twardą klatkę piersiową.

- Co mu się stało? - zabrzmiał męski głos. Otworzyła usta, potem je zamknęła, znów je otworzyła, nie mogąc słowa wydobyć. Sam! Co on tutaj robi?!

Sam tymczasem wyjął miskę z jej rąk i postawił na blacie.

- Co mu się stało? - powtórzył, zaglądając do wózka.

- On... on jest głodny - wykrztusiła Josie. - Muszę go nakarmić. Ale co ty tutaj robisz...?

Nie odpowiedział, po prostu wyjął dziecko z wózka.

- O Boże, jaki on duży! - Podniósł płaczącego Jake'a do góry i przyglądał mu się w zachwycie. - Jest co najmniej dwa razy większy!

- Prawie - powiedziała Josie, wycierając ręce o fartuch i zerkając na niego z ukosa. - Ale co tutaj robisz? - powtórzyła z naciskiem.

- Trzymam na rękach swojego syna. - Oparł Jake'a na ramieniu i zaczął go głaskać po plecach. Maluch kichnął, cmoknął i zaczął ssać piastkę.

Josie patrzyła na Sama jak na zjawę z innego świata. Nie mogła uwierzyć, że jest tutaj - z nią i z Jakiem.

Sam zaniósł dziecko do kuchni i cierpliwie czekał, aż Josie usadowi się na bujanym fotelu. Gdy już to zrobiła, spojrzała na niego wyczekująco, ale on się nie poruszył.

Zażenowana, rozpięła bluzkę, a potem unikając wzroku Sama, wyciągnęła ręce po dziecko.

Z głębokim westchnieniem umieścił Jake'a w jej ramionach. Gdy dziecko łapczywie zaczęło ssać, przykucnął obok bujanego fotela.

- Słucham...? - Nie patrzyła na niego, nie mogła.

- Kocham cię - rzekł po prostu.

Raptownie odwróciła głowę. Zastanawiała się, czy się nie przesłyszała. Może w ogóle nic nie powiedział? Zmarszczyła brwi.

- Nie rób tego. - Głos miał czuły, wyciągnął rękę i pogładził ją po brwiach.

- Czego mam nie robić? - odezwała się ze złością. Gdyby miała wolną rękę, odepchnęłaby go.

- Nie złość się. I nie usiłuj ze mną walczyć. – Mówił bardzo łagodnie, a jego brązowe oczy tchnęły ciepłem. - Nie każ mi odchodzić, Josie...

Potrząsnęła głową, całkiem zmieszana.

- O czym ty mówisz?

- O nas.

- O jakich nas?

- Chcę, byśmy byli prawdziwym małżeństwem. - Nie spuszczał z niej wzroku.

- Przecież mnie nie kochasz... - powiedziała, nie ośmielając się mieć nadziei.

- Kocham.

- Ale nie kochałeś...

- Ale teraz kocham! I kochałem cię, do diabła, sam nie wiem od kiedy... - Potrząsnął głową. - Chyba nie popisałem się reflekssem... - Uśmiechnął się ponuro. - Wiedziałem, że doprowadzasz mnie do szaleństwa, ale domyśliłem się dlaczego, dopiero gdy zaczął się poród.

- A cóż się wtedy stało?

- Chciałem... po prostu chciałem, byś się uśmiechnęła!

To było takie proste - i tak nielogiczne - że musiała w to uwierzyć. Roześmiała się szczerze. A potem potrząsnęła głową i zamrugła oczami, aby ukryć łzy, które nagle napłynęły jej do oczu.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? - spytała drżącym głosem.

- Nie sądziłem, że mnie kochasz... - Uniósł kącik ust.

- Ale...

- Na pewno nigdy tego nie powiedziałaś.

- A miałam to zrobić? Przecież usychałeś z tęsknoty do innej kobiety.

- Izzy miała rację, twierdząc, że jestem idiotą! - Sam skrzywił usta.

- Rozmawiałeś o tym z Izzy?

- Właściwie to ona ze mną rozmawiała... A potem przysłała mi zdjęcie. - Wyprostował się, sięgając do tylnej kieszeni dżinsów. Wyjął z portfela fotografię i podał ją Josie.

Josie w niemym zdziwieniu patrzyła na zdjęcie. Patrzyła na siebie. Nie miała pojęcia, że miłość i tęsknota do Sama tak wyraźnie wypisane były na jej twarzy. Pochyliła się i przyglądała przez chwilę główce dziecka; dotknęła jego policzka. Sam nakrył jej dłoń swoją.

- Kochasz mnie? - Wypowiedziane szeptem słowa właściwie nie były pytaniem; kryły w sobie strach pomieszany z nadzieją.

Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak - powiedziała cicho. - Od wielu lat.

- Lat? - Był poruszony.

- Odkąd zobaczyłam cię po raz pierwszy... To było tego lata, gdy zaczęłam pracować u Hattie. Byłeś moim ideałem mężczyzny.

- Też coś! - burknął lekceważąco, wyraźnie zażenowany.

- Naprawdę tak było - powiedziała szczerze Josie.

- Miałaś zamiar wyjść za Kurta - przypomniał.

- Byłeś przecież zaręczony z Izzy. Popełniłam błąd, zaręczając się z Kurtem. Teraz zdaję sobie z tego sprawę. Nie byłam dla niego odpowiednią dziewczyną.

- On nie był odpowiedni dla ciebie.

- Nie pasowaliśmy do siebie - przyznała pojednawczo. - Mam nadzieję, że w porę bym się zorientowała... - Owinęła rąbek kocyka Jake'a wokół palców.

Zawahał się na moment, w końcu odważył się powiedzieć:

- Nie uważasz, że popełniłaś głupstwo, idąc ze mną do łóżka?

- Być może tak, z punktu widzenia instynktu samozachowawczego.

Ale... - Spojrzała mu w oczy. - Ale zrobiłabym to jeszcze raz. - Opuściła wzrok i uśmiechnęła się, patrząc na syna.

- Dla Jake'a?

Oczy ich się spotkały. Josie wolno pokręciła głową.

- Nie tylko dla Jake'a. Dla ciebie też.

Pochylił ku niej twarz i uważając, by nie zgnieść Jake'a, który leżał pomiędzy nimi, dotknął ustami jej warg. Potem odsunął się znów i wyciągnął z portfela jeszcze jedną fotografię.

Było to kolejne zdjęcie zrobione przez Finna na ganku tamtego dnia. Sam spoglądał na nim w dół - na swoją żonę i syna - z takim samym jak Josie wyrazem twarzy.

- To dla ciebie - powiedział z uśmiechem. - Abyś nigdy nie zapomniała, jak bardzo cię kocham.

- Czy sądzisz, że Hattie miałaby coś przeciwko temu, gdybyśmy sprzedali pensjonat? - spytała Josie trochę później, gdy leżeli w łóżku.

- Myślę, że Hattie właśnie to miała na myśli, zostawiając mi pensjonat - powiedział Sam. - Ona to wszystko sprytnie zaaranżowała.

- A co z psem i kotami?

- Możemy je sprzedać razem z pensjonatem.

- O, nie! - zaprotestowała, podnosząc się na łokciach, ale Sam pociągnął ją w dół i mocno do siebie przytulił. - Nie możemy - dodała. - Należą do naszej rodziny.

- W porządku, zatrzymamy je. - Szczęśliwy i pogodzony z całym światem gotów był przystać na wszystko.

- A co z Benjaminem i Cletusem?

- Ich nie zatrzymamy.

- Będą się czuli bardzo samotni...

- Mogą przyjeżdżać do nas w odwiedziny.

- Chcieliby widzieć, jak Jake rośnie...

- A więc też będziemy przyjeżdżać i ich odwiedzać. Josie uśmiechnęła się z aprobatą.

- Zgoda. Chcę tu często przyjeżdżać. Będę za nimi tęsknić. I za pensjonatem. I za Dubuque.

- Cóż, nie uda nam się przenieść Dubuque! Wybuchnęła szczerym śmiechem.

- Kocham cię, Sam.

Przekręcił się na bok i pochylił nad nią twarz.

- Ja też cię kocham.

- Udowodnij mi to!

- Znów?

Przesunęła palcem po zarysie jego ucha.

- Cóż, jeśli nie chcesz... - Uśmiechnęła się zalotnie.

- Ależ chcę, pani Fletcher! - Pocałował ją w usta. - Prawdę mówiąc, nie przychodzi mi do głowy nic lepszego do robienia.

RS